Nr. 26. Poznań, Niedziela 30. czerwca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hrabiego Kanitza.

I.

Pan minister rolnictwa na posiedzeniu sejmu pruskiego z dnia 29 stycznia r. b. wyraził się o kryzysie w rolnictwie w sposób następujący:

„Rząd pruski uznaje w zupełności i w jak najszerszym zakresie, że rolnictwo przebywa poważne przesilenie. Kraje po tamtej stronie Elby nie są w tej chwili tak dotknięte przez nie jak wschód monarchii, ale nie łudźmy się! Jeżeli stagnacya w uprawie buraków, w cukrownictwie będzie rozwijała się dalej w tych co dotąd rozmiarach, w takim razie kryzys nastąpi również w zachodniej części królestwa i być może stanie się groźniejszą jeszcze niż kryzys powolna na wschodzie. (Głosy na prawicy: bardzo słusznie). Ale czyż ta kryzys agrarna ogranicza się na Prusiech, na Niemczech? Spojrzyjcie panowie na Rosyę, Anglię, Francyę, Amerykę, Włochy, wszędzie znajdziecie takie same, w niektórych krajach, być może, groźniejsze przesilenie. Podczas gdy u nas w publicznych instytucyach kredytowych i hipotecznych zaległości czynszowe wahają się pomiędzy 2—6 proc., podług notatek, jakiemi rozporządzam, zaległości te wynosiły w Rosyi za rok przeszły 65 proc. (Prawica: słuchajcie, słuchajcie!) W Anglii stosunki rolnicze są również opłakane jak u nas, a przecież Anglia od lat dawnych trzyma się wręcz odmiennego systemu ekonomicznego. Rosya, w której zdawien dawna panuje protekcyonizm, znajduje się w położeniu gorszem od nas, Anglia ze swoją teoryą manchesterską również. We Francyi, która posiada autonomiczną taryfę celną — dzieje się nie lepiej. Stąd wniosek, że nie osoby pojedyńcze ani systematy gospodarcze są winą klęski. Jest ona międzynarodową. Wynika ztąd również, że nie łatwo znaleść można środki zaradcze. Lecz więcej jeszcze: kryzys ta dotyczy nietylko rolnictwa, panuje ona jednocześnie w przemyśle i w handlu i należy wystrzegać się takich środków, które pomagając jednej gałęzi, szkodzą innej. Musimy konkurować z krajami, które produkują przy znacznie niższych kosztach wytwórczych. Czy uda nam się obniżyć nasze koszta wytwórcze do poziomu tych krajów konkurencyjnych, wydaje mi się wątpliwem. Cała produkcya została doszczętnie zmienioną wskutek postępów w nawożeniu, w technice maszynowej, a nie ulega kwestyi, że przejście od jednego rodzaju produkcyi do innego ciągnie za sobą doniosłe skutki, i że ten przewrót nie odbywa się szybko. — Najtrudniejszą okolicznością dla walki konkurencyjnej jest, że odległości właściwie już nie istnieją. Ameryka, przecięta drogami rzecznemi aż do wnętrza południowo-wschodnich obszarów, jest w stanie dostarczać produkty swoje na nasz rynek przy tańszych kosztach przewozowych, aniżeli je dostarczyć może wschodnia część monarchii pruskiej do zachodniej. (Prawica: bardzo słusznie!) Argentynia wyprzedziła swoim olbrzymim eksportem pszenicy kraje, z któremi zawarliśmy traktaty handlowe. — To nasuwa poważne rozmyślania, to świadczy również, że wobec przesilenia teraźniejszego, którego powody noszą charakter mniej lub więcej międzynarodowy, trudno bardzo o środki zaradcze“.

W dalszym ciągu swej mowy pan minister wzywał do pracy i oszczędności, przypominając piękną sentencyę biblijną: „w pocie czoła chleb twój jeść będziesz“. Wówczas głosy prawicy już nie wtórowały mu zgodnym chórem, a kiedy doszedł do ostatecznego wyniku, że „trzeba oczekiwać cierpliwie przebiegu kryzys“, chór prawicy szemrać począł wyraźnie. Nie pomogły obietnice hojnych wsparć dla producentów gorzałki i cukru. „Zboże, zboże“! wołali wtedy natarczywie agrarczycy. Nie pomogła nawet wzniosła rada, aby w Panu Bogu pokładano jedyną nadzieję; pobożna prawica szemrała.

Nie dziwmy się natarczywości tych panów, dla wielu z nich bowiem chodzi tu rzeczywiście o być lub nie być. — Że kryzys istnieje, o tem pan minister zaiste przekonywać nie potrzebował nikogo. Po części miał też zupełną słuszność co do przyczyny tej kryzys. Co zaś do rady, aby „cierpliwie przeczekać“ obecne przesilenie, to ona wypowiada tylko w innych wyrazach, że pan minister środka zbawczego nie widzi. Dla agrarczyków musiała ona brzmieć jak gorzka ironia, bo jeszcze rok lub dwa, a wielu producentów zboża, wielu posiadaczy wielkich majątków czekać nie będzie w stanie. Położenie więc jest bez wyjścia.

Stwierdzimy to jeszcze cyframi wymowniejszemi od pruskiego ministra nawet. — Londyński „Economist“, jedno z najpoważniejszych czasopism ekonomicznych, zajmujące się specyalnie kwestyami handlu zbożowego, zestawia ceny pszenicy w ostanich latach. Oto rezultat: od 1891 do 1894 cena pszenicy spadła o 42,03 proc. (z 34 sh. 7 d. za quarter w roku 1891 do 14 sh. 7 d. w r. 1894) w Londynie. W Berlinie w sierpniu 1891 r. płacono za tonnę 236 mrk. 19 fen., w sierpniu 1894 135 mrk. 11 fen.; tu więc cena spadła o 42,80 proc. Produkcya wszechświatowa wynosi 300 milionów quarters, a więc wartość w przybliżeniu wynosiła w r. 1891 (licząc po ówczesnej cenie 34 sh.) 510 milionów funtów szterlingów. Ta sama ilość w roku 1894, licząc nawet po 20 sh., przedstawia wartość 300 milonów, a więc wartość obniżyła się o 42 proc., czyli o 210 milionów funtów szterlingów, czyli o 4 miliardy 200 milionów marek! To nie rewolta, to rewolucya — na rynku. Co ją spowodowało? Nadmiar produkcyi. W r. 1893 zbiór pszenicy przewyższał zbiory przeciętne o 25 mil. quar.; wynosił bowiem 299 mil. quar. Na rok 1894 zbiór wynosił jeszcze więcej, bo 302 mil., prócz tego znajdują się jeszcze olbrzymie zapasy zboża w Ameryce, w Rosyi, w Indyach. Ta obfitość w części jest skutkiem hojności natury. Szczególnie stosuje się to do Stanów Zjednoczonych, gdyż podług obliczeń departamentu rolnictwa przestrzeń zajęta pod uprawę nie powiększyła się, lecz zmniejszyła: 39 i pół mil. akrów w r. 1884, w ostatnich trzech latach 37 i pół, a w r. przeszłym już tylko 33 mil. akr. Urodzaj zaś w r. 1891 był niebywale obfitym, w r. 1892 nadzwyczajnym, w latach

93 i 94 więcej niż przeciętnym. W części jednakże ten potop zbożowy zawdzięczamy pojawieniu się na rynku zbożowym nowych producentów: Indye, Australia, Egipt, Argentynia. Ostatnia eksploatowała w roku 1892 2 miliony quar., w r. 93 4 i pół miliona, w r. 94 6 mil. i produkcya tamtejsza w najbliższych latach wzrastać jeszcze będzie, gdyż kraje Laplaty nadają się jak żadne inne do uprawy pszenicy; gospodarkę prowadzi się tam w sposób rabunkowy, ale ziemia niemal dziewicza wiele jeszcze wytrzyma, a robotnik (po większej części wychodźcy włoscy) jest niezmiernie tani. Urodzaje w Indyach od roku 1891 stale przewyższają przeciętne. To skłoniło do uprawy na wielką skalę i ta uprawa trwać będzie dalej.

To jest wymowa cyfr. Co będzie w roku bieżącym, co będzie na przyszłość? Trudno tu prorokować. Możliwem jest, że produkcya Stanów Zjednoczonych zmniejszy się, gdyż i ztamtąd dochodzą już wieści zatrważające. Ceny zaczynają nie pokrywać kosztów produkcyi na mniej urodzajnych gruntach, wobec czego występuje wyraźnie dążenie do zmniejszenia produkcyi. Ale łatwiej postanowić to niż uczynić, gdyż w gospodarstwie rolnem a szczególniej w gospodarstwie forsownem, prowadzonem olbrzymim nakładem kapitału, jak w Ameryce, nie przeprowadza się zmian z dziś na jutro. Argentynia zaś, Indye, Egipt, Australia raczej powiększać będą w latach najbliższych swoją produkcyę. Są nawet ekonomiści, którzy przewidują doniośliejsze jeszcze niż dotąd skutki tej konkurencyi naszych krajów z dziewiczą ziemią. Tak n. p. Fryderyk Engels powiada:

„Uprawa tych stepów, prairyj, pampasów, uanosów etc. dopiero się rozpoczęła; jej działanie rewolucyonizujące wobec rolnictwa europejskiego da się we znaki jeszcze w daleko wyższym stopniu na przyszłość“. (W przypisku do III tomu „Kapitału“ Marxa. II część stron 210).

Tymczasem koszta produkcyi pszenicy w Anglii przy najbardziej postępowem gospodarstwie wynoszą 30 szylingów za quarter, cena zaś 15 sh., trzeba więc, żeby cena podniosła się przeszło o 100 proc., zanim te gospodarstwa mogłyby produkować z korzyścią. To samo stosuje się do Niemiec, gdzie podług obliczenia hrabiego Kanitza dopiero cena 21 mrk. za centnar pozwalałaby produkować z zyskiem, podczas gdy cena rynkowa wynosi 13,50 mrk. Takie podwyższenie cen mogłoby nastąpić jedynie wskutek znacznego ograniczenia produkcyi w krajach eksportujących, o jakiem w najbliższym czasie marzyć nie można, albo wskutek — nieurodzaju powszechnego. Ześlij, Panie Boże, nieurodzai, inaczej klęska grozi — oto konkluzya, oto wniosek, do którego prowadzą cyfry. Urodzaj podkopuje byt rolnika, ten parodoks jest ostatnią konsekwencyą, jaką wyciągamy z faktów. Postęp ekonomiczny grozi ruiną całej klasie wytwórców. Gdyby zdanie takie powiedziano jakiemu poczciwcowi, który żył przed 300 laty, zawołałby cyrulika, aby krew puścił mędrcowi, co do takich doszedł wniosków. A jednak — fakty są niezbite i nasze mózgi w porządku, a ów parodoks jest tylko stwierdzeniem dyalektyki rozwoju ekonomicznego, który dąży naprzód, siejąc po drodze klęski. O, ten rozwój doprowadza do dziwniejszych jeszcze objawów. „Economist“ twierdzi, że w ostatnich latach mamy nadprodukcyą zboża, a „Economist“ jest najpoważniejszem pismem angielskiem. Pójdźmy jednakże na Kujawy, a zobaczymy dzieciaki wiejskie, którym brzuchy obrzękły od ziemniaków, bo na chleb ojców nie stać. Pójdźmy na Szląsk, a wyrobnicy powiedzą nam, że chleb za drogi i dla tego wyżyć z zarobków nie można. Pójdźmy w okolice Częstochowy, a zobaczymy chleb czarny jak święta ziemia, bo mieszają doń wszelkie paskudztwo, byle przebyć głodny czas na przednówku. Pójdźmy do Galicyi, a dowiemy się, że ludzie nie jedzą chleba tylko ziemniaki i kluski, bo chleb zbyt drogi. Czy to chłop polski taki głupi, czy też Anglik tumanı? Nie, Anglik mówi prawdę, a oni nie jedzą chleba, bo go nie ma za co kupić. I nie tylko chłopi polscy nie wiedzą o tem, że na świecie jest hyperprodukcya zboża; — ich towarzysze z farm amerykańskich na zimę stają się włóczęgami, mrą literalnie głód i buntują się, o czem niedawno donosił „Times“. To wszystko jest bardzo logiczne! — Ale, ale, jeżeli nas pamięć nie myli, to w r. 1891—92 był głód w Rosyi, srożył się tyfus głodowy, ludzie marli jak muchy. A „Economist“ twierdzi, że właśnie rok 1891 odznaczał się urodzajem fenomenalnym, że wiele zboża pozostało na składzie. Dziwne dziwy! Może to tam zboża nie można było dostarczyć? O nie. Pan minister twierdzi, że „rozwój dróg komunikacyi przyczynił się do zniżki cen“. To stosuje się również do Rosyi. Dowóz tam nie jest tak łatwy jak w Ameryce, poprzecinanej rzekami i kanałami, ale jest możliwy. Tylko Iwany i Mikołaje nie mieli pieniędzy, żeby kupić taniej pszenicy, i dla tego kupcy w Odesie, Rydze i Warszawie przed zamknięciem granicy woleli dniem i nocą transportować zboże na przepełnione wskutek hyperprodukcyi rynki europejskie, niż posłać je tym głodnym Iwanom i Mikołajom, co zapomnieli zaopatrzyć się w gotówkę. Nieopatrzny naród!

Tu mieliśmy do czynienia z produkcyą rolną zależną od urodzajów. Widocznie matka natura na starość nie wie, co robi. Zwróćmy się więc do przemysłu, do fabryki, gdzie, jak zapewnia nas ekonomista angielski pan Ure, odzwierciadla się boski porządek rzeczy, gdzie wszystko odbywa się zupełnie zgodnie z rozumem. — Otóż prof. Conrad dowodzi (Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik, zeszyt na luty 1895 r), że zniżka cen wytworów rolniczych odpowiada ściśle zniżce cen wytworów przemysłu. Ta zniżka cen, jak dowodzi p. profesor (a jest on poważnym badaczem, mającym firmę uznaną w świecie naukowym), jest spowodowana nadprodukcyą we wszystkich prawie gałęziach. A więc mamy nadto wyrobów żelaznych, nadto płótna i sukna, nadto mebli i t. d., mamy wszystkiego nadto. Tymczasem na całym świecie strejkują bezustannie robotnicy, twierdząc z taką samą słusznością, że nie mogą pokryć niezbędnych wydatków, tymczasem na całym świecie wszyscy się skarżą. że „czasy są ciężkie“. Ludzie nie mają butów i koszul, mieszkają źle, żywią się źle, a na świecie jest hyperprodukcya. Więc i tu to samo. Postęp doprowadził do kryzysu, obfitość sprowadza klęskę. Musimy więc przyznać słuszność słowom pana ministra: „wobec takiego położenia rzeczy niełatwo o środki zaradcze“. A nawet powiedzmy wyraźnie: wobec takiego położenia nie ma środków zaradczych, a przynajmniej nie ma takich, jakieby można zadekretować z krzesła ministeryalnego. Klęski, jakie szerzy postęp ekonomiczny, on sam jedynie naprawiać może. W dalszym rozwoju zmieni on stopniowo stosunek wzajemny klas społecznych i doprowadzi do innych form podziału, a tym sposobem stworzy odpływ dla nadprodukcyi, którą wywołuje dziś z konieczności. Tak było dotąd, tak będzie w przyszłości. Lecz zmian tych z dziś na jutro nikt zadekretować nie może; społeczeństwo musi dojść do nich samodzielnie. Kiedy więc dojdzie? Nieprędko zapewne. W każdym razie rada pana ministra, by „przeczekano“ obecne przesilenie, jest platoniczną. Przesilenie to nie jest z tych, które przemijają prędko. Wogóle jeszcze przed kilkunastu laty przypuszczano, że ruch ekonomiczny odbywa się w cyklu: ożywienie w produkcyi, ztąd nadprodukcya, następuje stagnacya, trwająca lat kilka, powoli stosunki normują się, rynek przychodzi do równowagi, powoli zaczyna się znów ożywienie, ruch coraz się przyspiesza i doprowadza do nowego przesilenia. Dziś zdanie takie nie da się już utrzymać, dziś mamy hyperprodukcyą stałą,

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

— Ależ Engelko, co ty wyprawiasz! rzekł śmiejąc się wesoło.

Podeszła teraz do niego.

— Jestem dziś tak czegoś zadowolona! — rzekła, a oczy rozpromienione świadczyły o tem wymownie.

— Dlaczego to Engelko?

— Nie wiem sama — to pewnie z powodu pięknej pogody. Zobacz, jakie mam zimne ręce! — Mówiąc to podała mu obie ręce.

— Biedne moje stworzenie! — zawołał ujmując je w swoje dłonie; rozcierał je delikatnie i pocałunkami rozgrzewał. — Jaki też Pan Bóg nielitościwy, że pozwala tak zmarznąć mojej małej dziewczce!

— I ja dla Pana Boga nie lepsza, to się wyrównywa! zaśmiała się Engelka, lecz przy słowach tych się zarumieniła. — Zresztą cudowny jest taki mroźny dzień! tak świeżo, tak lekko jakoś człowiekowi! myśli się wtedy o wiośnie i o wszystkiem tem pięknem, co wraz z nią nastąpi!

— Co rozumiesz przez to piękne, co ma nastąpić, Engelko?

— No, kwiaty naturalnie, ciepło i to wszystko. —

— Nic więcej? — uśmiechnął się znacząco.

Twarz jej oblał rumieniec od brzegu włosów jasnych do oplatającego szyję kołnierzyka sukni; ujęła twarz w obie ręce, jak zwykła to czynić, gdy czuła, że się rumieni.

— No tak — odpowiedziała cicho.

Objął ramieniem jej kibić i z lekka pociągnął ku sobie.

— Engelko! — rzekł tuląc ją do siebie — nie bywam nigdy sentymentalnym, ale Ty nie wiesz jakiem szczęściem napełnia mnie myśl o przyszłości. Gdy myślę o przyszłem naszem pożyciu — wszystko wydaje mi się jasnem, promiennem, dzięki tobie jedynie! Mogę powtórzyć za poetą: jesteś jutrzenką na horyzoncie życia mego! Pomyśl, jak daleko w rozwoju naszym dojść możemy, idąc ręka w ręka; zbudujemy małą świątynię wśród całej tej głupoty i powszedniości naszego otoczenia — myśli nasze polepszą się i uszlachetnią — wydoskonalą uczucia nasze! a życie w pełni z tą dopiero rozpocznie się chwilą! A potem coraz wyżej dążyć będziemy w rozwoju naszym, bez wytchnienia! Coraz będziemy bogatsi, coraz zasobniejsi, nieprawdaż Engelko?

Nie odpowiedziała zaraz; wsparta o jego ramię, mechanicznie obracała w palcach jego łańcuszek od zegarka.

— Dlaczegoż nie miałbyś być szczęśliwym, uczynię wszystko, co w mojej będzie mocy, ażebyś nim był rzeczywiście.

— Jesteś moją dobrą dziewczynką — wiem o tem, ale to nie dosyć, ażebym ja był szczęśliwym, i Ty nią być musisz, moje dziecko!

— O mnie nie ma mowy, — rzekła z uśmiechem.

— Co to znaczy? Co przez to rozumiesz? Przecież o nikim innym nie mówiłem przed chwilą? Musisz być uczestniczką mego szczęścia; w domu naszym, w salonie Tobie oddaję berło rządu. Mówiliśmy już o tem przecie. Raz w tygodniu przyjmujemy u siebie, wtedy zbiorą się u nas wszyscy wybitniejsi literaci, uczeni, artyści, kobiety piękne — jednem słowem wszyscy co na miano człowieka — w pełnem tego słowa znaczeniu — zasługują. Ty, rozumie się przewodniczysz, już sobie wyobrażam, jak ci z tem będzie do twarzy Engelko!

Siedzisz spokojna w twej sukni białej, — świetlana postać, podobna do jasnego promienia rembrandtowskiego na ciemnym tle fraków otaczających cię mężczyzn. Sama nie wiele mówisz. Kierujesz tylko rozmową, wtrącając od czasu do czasu jakieś słówko, które nowe, zajmujące konstelacye wprowadza, — jak w kalejdoskopie... znane ci są przymioty i talenty wszyst-

tak że nawet trudno właściwie dziś już mówić o „kryzisie“. Skutek jest ten, że zaostrza się antagonizm klas i stanów, walka staje się coraz bardziej zaciętą. Powtarza się obraz przy tonięciu okrętu: każdy chwyta się czołna lub belki nawet i biada, kto mu ją chce wydrzeć. Wobec niechybnej zguby giną lepsze instynkta i zaczyna się walka o śmierć i życie, zacięta walka wszystkich przeciw wszystkim. Taką walkę przeciw wszystkim toczą teraz agrarczycy obstając za wnioskiem hrabiego Kanitza, bo wniosek ten nie jest niczem innem, jak dążeniem do nałożenia ciężarów innym na swoją korzyść.

I. B. M.

POLITYKA.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

IV.

Ma się rozumieć, że, mimo braku własnej polskiej inteligencyi niemieckie stronnictwo Centrum nie byłoby się u nas tak rozpanoszyło, gdyby nie wpływ księży naszych. On to stanowi ów kit, łączący polskich wyborców z niemieckiem stronnictwem, kit, który wprawdzie w ostatnim czasie już w kilku miejscach popękał, który atoli w innych miejscach jest jeszcze tak mocnym, że zupełnie lekceważyć go nie można. Ale, aby zrozumieć, dla czego to księża górnoszląscy tak się upierają przy stronnictwie centrum, a tak nienawidzą samej już myśli przyłączenia się w danym razie do równie katolickiego Koła polskiego, trzeba znać ich usposobienie, i dla tego w krótkich słowach pozwolę sobie usposobienie to scharakteryzować. Na przeszło 600 księży w powiatach górnoszlązkich jest może dzisiaj zdeklarowanych narodowców zaledwie kilku; — takich, którzy w głębi serca uważają się za Polaków i którzy niczby nie mieli przeciwko połączeniu Szląska pod względem polityczno-wyborczym z Wielkopolską, którzy atoli liczą się ostrożnie z prądem, wiejącym z Wrocławia, jest może z sześćdziesięciu, — a więc co najwyżej 10 proc. Reszta przyznaje się otwarcie do narodowości niemiekiej, jakkolwiek w połowie pochodzi z ludu polskiego, z rodziców mówiących wyłącznie po polsku. Zniemczyła ich szkoła niemiecka, zniemczyły ich zwłaszcza gimnazya, które na Szląsku posiadają tradycyjną wprawę w germanizowaniu dziatwy polskiej, w odwodzeniu jej od mowy i obyczajów ojców. Dziecko włościanina, uczęszczające do niemieckiej szkółki wiejskiej, pozostaje bądź co bądź w rodzinnem, polskiem otoczeniu, wraca ze szkoły do polskiego domu rodzicielskiego, obraca się wyłącznie w kole podobnie myślących rówieśników, a przy dzisiejszej tresurze szkolnej nie zdobywa sobie do tyla znajomości niemieckiego języka, iżby mogło w nim zasmakować. Gimnazyasta natomiast wychodzi z domu rodzicielskiego na czas dłuższy, dostaje się w towarzystwo niemieckich lub zniemczałych synów mieszczan i urzędników, którzy przy każdej sposobności i tak długo wyszydzają jego właściwości i nawyknienia polskie, aż się sam ich wstydzić zacznie, wreszcie z konieczności rzeczy przyswoić sobie musi gruntownie język niemiecki, który następnie, jako klucz do nabywanej stopniowo wiedzy, polubi. Język polski, wyniesiony z domu, a obejmujący jak każdy język chłopski, stosownie do ciasnego zakresu pojęć i stosunków tego stanu, szczuplejszą ilość wyrazów niż język wykształcony książkowy, nie wystarcza do określenia pojęć trudniejszych, abstrakcyjnych. Codziennie też słyszy z katedry zapewnienie, że to nie język, jeno gwara zepsuta, skazana na wymarcie, bez możliwości wykształcenia i bez literatury. Więc powoli zaczyna myśleć po niemiecku, a przy sztucznem rozbudzaniu patryotyzmu prusko-niemieckiego i na wewnątrz przerabia się na Niemca. Znam u nas prymanerów, synów chłopów polskich, którzy, wróciwszy na wakacye, biją młodsze rodeństwo za to, że po polsku do nich przemawiają, zaś powaga ojca-prostaka nie wystarcza na przekonanie i nawrócenie zwyrodniałego syna. Ot taki proces wychowawczo-psychiczny przechodzi całe duchowieństwo górnoszląskie, więc dziwić się nie można, że z wyjątkiem jednostek, które zachowanie narodowości przyrodzonej zawdzięczają wyjątkowo szczęśliwym okolicznościom, większość duchowieństwa zalicza się do narodowości niemieckiej.

Władza książęco-biskupia nie dba niestety w należyty sposób, aby młodzi klerycy na uniwersytecie i w alumnacie przyswoili sobie język polski, i tak młodzi kapłani, przybywając po wyświęceniu do polskich parafii, pamiętają ledwie kilka zdań, zwrotów i nieliczny zasób słów polskich. Jakże tu w takich warunkach może być mowa o dobrem kazaniu lub słuchaniu spowiedzi? Księża ci sami to czują, że żywem słowem nie zdołają wpłynąć na lud, bo chociaż posiadają wszelkie dane na dobrych kaznodziejów, braknie im słów do wypowiedzenia myśli. Więc zastępują brak ten sztucznem pomnażaniem swej powagi kapłańskiej, zewnętrznemi formami i ceremoniami, ale środki te naturalnie po największej części pozostają bez skutku. Sławiona religijność ludu górnoszląskiego podobna jest też do jego lojalizmu, — jest poniekąd także zewnętrzna, gdyż bez żywego słowa nie zdołała dotrzeć do głębi. A powaga duszpasterzy trwa tak długo, dopóki pełnią oni wolę ludu, lub dopóki jakie wpływy przeciwne nie wchodzą w rachubę. Gdy te się pojawią, natenczas księża tracą najzupełniej wpływ na lud, a ostatecznie zdarzają się takie zajścia, jak świeżo smutne wypadki *w Mikulczycach* pod Bytomiem. To też jednem słowem wpływ księży górnoszląskich na lud jest tylko wpływem duszpasterzy, — a nigdy prawie wpływem osobistym.

Ma się więc rozumieć, że dla tych księży jest stronnictwo centrum jedynie możliwą organizacyą polityczną.

Jak bowiem z jednej strony wobec ludu polskiego zastawić się mogą tym paragrafem programu, który żąda przywrócenia języka polskiego co najmniej przy nauce religii, — tak z drugiej strony znów mogą śmiało odwoływać się na swój patryotyzm niemiecki, którego centrum nigdy się nie wypierało. Jest to więc po prostu płaszcz na obu ramionach bardzo wygodny i dla tego tak duchowieństwu górnoszląskiemu sympatyczny. Jednakże większa część księży górnoszląskich z głębi serca niczego goręcej nie pragnie, jak wymarcia języka polskiego i w tym duchu postępuje krok w krok z stronnictwem centrum. *Faktem bowiem jest niezbitym, stwierdzonym licznemi dowodami, że stronnictwo centrum jest tak samo przeciwne rozwojowi polskości na Górnym Szląsku, jak rząd. Centrum pragnie zachować język polski ludu tylko tak długo, dopóki pod presyą stosunków sam nie wymrze, ale z wściekłą zaciętością zwalcza wszelkie zakusy, zmierzające nietylko do podtrzymania, ale do odrodzenia polskości Szląska!* Jest w tem pewna racya polityczna, boć nie ulega wątpliwości, że skoro duch polski u nas się wzmoże, — centrum zniknie zupełnie z widowni politycznej.

Ta tendencya germanizatorska stronnictwa centrum jest tem niebezpieczniejszą, bo ukrywa się pod maską obłudnej życzliwości i posługuje się ku swym celom wiarą i Kościołem. Zaczęła ona, jak to już w poprzednim artykule powiedzieliśmy, objawiać się zaraz po zwolnieniu walki kulturnej, gdy centrum, zwłaszcza z chwilą upadku Bismarcka zaliczono znów „zu den

---

kich twoich gości i starasz się, by zabłysnąć mogły, — jednem słowem: „une femme suggestive“. Opanowujesz salon, jak francuskie damy zeszłego stulecia: Madame Geoffrin, Mademoiselle Quinaulte i inne. A gdy jaki duch niezgody zakradnie się do twego grona, lub gdy ojciec twój złośliwym być zacznie — wówczas wystarczy twoje: voilà qui est bien!“ a wszystko wróci do dawnej harmonii. Wszyscy oddadzą sprawiedliwość twemu geniuszowi w tym kierunku. Cóż ty na to? O jedno tylko proszę cię bardzo: nie daj powodu do zazdrości, bo wtedy mogę być okrutnym — mówił żartując. — Gdyby tak n. p. zaszedł do nas wspólny nasz przyjaciel Nörgaard...

Engelke nagle zerwała się i podeszła do okna.

— Jego stanowczo nie życzę sobie u nas! — rzekła.

— Tak, słusznie, nie chcemy go widzieć u nas! — odparł.

Nastąpiło milczenie, podczas którego on z ciekawością na nią spoglądał; ona wpatrywała się w ulicę.

— Czy widzisz coś na ulicy? — zapytał.

— Nic szczególnego.

Podeszła znowu do niego i schyliwszy się po książkę, którą on był poprzednio upuścił, usiadła.

— Jak ci się podoba? — spytała, przerzucając kartki.

— Ach! nic ciekawego.

Teraz on wstał z krzesła i począł chodzić po pokoju.

— Wszystkie duńskie książki przypominają romanse Ingemanna, jakkolwiek radykalnemi okazaćby się chciały. Ciasta, które wypiekają nasi poeci, w rozmaity sposób bywają przystrajane, lecz zawartość ich, treść, zawsze pozostaje ta sama: jaja, mąka i masło, nasze dobre duńskie masło! A to mnie irytuje! Duński poeta jest czemś zupełnie stałem, niezmiennem, jednostajnem jak studnia. Ma on swoje odwieczne cnoty, które i studnia posiada; lubi naturę, tak jak przystało, serce jego bije dla maluczkich i uciśnionych, jak bić powinno, nigdy mniej lub więcej... gdyby zaś chciał kto wymienić istotną racyę jego bytu, brzmiałaby tak: uczciwa walka przeciwko obłudzie i wszelkiej niegodziwości ludzkiej, — zupełnie tak, jak największą cnotą studni jest woda, której dostarcza! Oto są cnoty dobrego duńskiego poety, lecz są one takiemi dla tego, że takich tylko wymaga się od niego.

— Widzisz, Engelko, to są rzeczy, które mnie gniewają — zaczął po chwili, usiadłszy na fotelu. — Poeta, podług mnie, powinien kochać zło dla zła samego! Nie dość jest sentymentalnie umizgać się doń, jak Baudelaire i inni, którzy na nim się wykarmili, — to za mało stanowczo; poezya, jaką ja rozumiem, winna drżącą namiętność żywić dla zła — w przybliżeniu dał nam Shakespeare taką poezyę, lecz daleko jej jeszcze do doskonałości. Moja poezya uznaje zło jako jej istotę, jako krew w żyłach, jak tchnienie jej własne. Lecz daleką jest od filozofii Mefista, ona nie wyszydza, nie ośmiesza, gdyż za wiele sobą jest zajęta, a zdawkowe pojęcie grzechu dla niej nie istnieje. Spogląda ona na świat spokojnem okiem wielkiego łotra: odkrywa występek i bezwstyd w tem nawet, cośmy cnotą nazywać zwykli.

Siedział w fotelu pochylony, zlekka się kołysząc, a mówił to wszystko głosem cichym, obojętnym, który dziwnie odbijał od silnych słów, jakie wypowiadał.

Engelke siedziała po drugiej stronie stołu. Wsparłszy głowę na obu rękach patrzała na mówiącego swemi jasnemi oczyma.

— Gdyby cię tak kto słyszał mówiącego — rzekła — pomyślałby, że sam jesteś jednym z tych złych ludzi!

— Może nim jestem, droga Engelko; skąd wiesz, że nie jestem owym wilkiem w owczej skórze?

— Jesteś zapewne bardzo dobrym chłopcem — odparła.

— Lecz skąd wiesz o tem?

— Mówiłeś przecież nieraz coś całkiem innego, coś przeciwnego zupełnie.

— To dowodzi tylko, że zarówno jednym jak i drugim być mogę.

staatserhaltenden Parteien". W centrum sejmowem wydano hasło: „Nie drażnić rządu skargami polskiemi", i w myśl hasła tego zabroniono panu majorowi *Szmuli* wystąpić w sejmie z rekryminacyami na naukę szkolną niemiecką i na postponowania języka polskiego przed sądem.

Przepraszam, że znów odbiegnę od tematu, ale zdaje mi się to być rzeczą konieczną. Czy wy znacie, bracia Wielkopolanie, p. majora Szmulę, który u nas na Górnym Szląsku zajmuje niemal to samo stanowisko jakie Parnell zajmował w Irlandyi? Zapewne wiecie, że jest dzielnym posłem do sejmu i parlamentu i że już niejednokrotnie głos zabierał w obronie ludu i języka polskiego, — ale po za tem nic więcej. Jedni domyślają się w nim już co najmniej urodzonego kontuszowca (pan major jest właścicielem obszernych dóbr rycerskich), — inni znów uważają go za Niemca, który tylko z prostej sprawiedliwości broni polskości udu. Otóż mylą się jedni jak i drudzy, — plan major Szmula nie jest ani pierwszym ani drugim, jest Szlązakiem, i to polskim Szlązakiem, jest partykularystą szląskim, najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku a przytem zdeklarowanym demokratą. Pochodzi on z pierwotnie czeskiej rodziny wyznania protestanckiego i dopiero później przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Brat jego, radzca medycynalny w Bytomiu umarł jako protestant, Niemiec, i zagorzały przeciwnik polityczny p. majora. Dosłużywszy się stopnia majora p. Szmula ożenił się i zajął się gorliwie gospodarstwem. Na widowni politycznej ukazał się pan major, jeśli nas pamięć nie myli, po raz pierwszy na wiecu katolickim w r. 1880, już wtedy mówił płynnie po polsku i przemawiał ogniście za prawami językowemi polskiego ludu. To też niebawem pod presyą srogiej jeszcze wtedy walki kulturnej centrum szląskie oddało p. majorowi mandat poselski bytomski. Pan major jest mówcą urodzonym, mówi spokojnie, a mimo to z wielką werwą i rozporządza wielką ciętością słowa; wnet też zasłynął jako najlepszy obrońca języka polskiego na arenie parlamentarnej. Mowy jego powinny być znane w całej Polsce, ponieważ po śmierci Kantaków i Niegolewskich żaden z waszych posłów polskich, z wyjątkiem chyba pana Czarlińskiego, tak ostro nie krytykuje postępowania rządu i tak dosadnio nie piętnuje krzywd nam wyrządzanych, jak to czyni p. major. Ale działalność jego nie ogranicza się wyłącznie na arenie politycznej, bierze on niemniej żywy udział w ruchu towarzystw naszych i stał się dzisiaj jedną z najpopularniejszych postaci u nas. Zdobyła mu tę popularność wielka odwaga cywilna, — gdyż bronił on ludu nietylko przeciwko rządowi, ale w łonie centrum przeciw większości germanizatorskiej, bronił nas na wiecach i w Wrocławiu. Pan Major nie jest bynajmniej zwolennikiem tak zwanej „idei wielkopolskiej", jednakże obronę praw naszych opiera nietylko na prawach przyrodzonych ale i na *historycznej odrębności i prawach historycznych* i tem się różni bardzo od drugiego, zresztą sympatycznego posła naszego pana radzcy *Letochy*, który jakkolwiek w całem tego słowa znaczeniu Polak rodowity, stoi ściśle na gruncie programu centrowego i tylko z tego punktu widzenia broni praw naszych.

Ale wróćmy do rzeczy. Powiedzieliśmy, że w miarę słabnięcia walki kulturnej centrum coraz bardziej chłodło w swych „sympatyach" do polskości i sprawę obrony języka ojczystego ludu spychało na drugi plan. Dopóki na Górnym Szląsku istniał sam tylko „Katolik", wydawany i redagowany przez kapłana, lud nie dowiadywał się o takich zamachach zakulisowych, bo „Katolik", aby nie psuć zgody między wyznawcami jednej wiary, milczeniem takie zajścia ubijał. Sytuacya zmieniła się dopiero od chwili, gdy w Raciborzu zaczęły wychodzić niezależne i ściśle polsko-narodowe, a nie centrowe „Nowiny Raciborskie", — którym w kilka lat później w sukurs przybyła dzielna „Gazeta Opolska". Gazety te uważały za swój obowiązek wyświecać należycie takie kwestye i przekonywać lud, jak bywa w swem zaufaniu zwodzonym. Śmiałe ich postępowanie skłoniło wreszcie i „Katolika" do otwartszego przemówienia i zajęcia wyraźniejszego stanowiska. Tymczasem stosunki zaostrzyły się coraz bardziej. Centrum usiłowało kilku zamachami ubić opozycyę polską, skupiającą się około „Nowin Raciborskich" i „Gazety Opolskiej", lecz zamachy te się nie powiodły. Rozpoczęła się wtedy walka cicha, podjazdowa. Przywódzcy centrowi a zwłaszcza centrowe duchowieństwo dokładało wszelkich starań, aby zachować stronnictwu swemu uświęconą z kazalnicy nietykalność. Urządzony w roku 1890 w Raciborzu wspólny większy wiec katolicki doznał atoli zupełnego fiaska, ponieważ komitet centrowy nie chciał uznać i akceptować słusznych żądań miejscowego komitetu polskiego co do równouprawnienia języka polskiego, wskutek czego za radą „Nowin Raciborskich" lud polski w wiecu tym udziału nie wziął. Wydało się także, że p. hr. *Ballestrem*, przywódzca stronnictwa Centrum na Szląsku, radził publicznie: „*die Oberschlesischen Polen aufs Maul schlagen*", że o ks. Robocie, Polaku, wyraził się, iż „*einen solchen Polonisator muss man weit weg aus Oberschlesien jagen*", co naturalnie wśród ludu wywołało ogromne oburzenie, — wydało się dalej, że księżę-biskup z dzisiejszy kardynał w żaden sposób zezwolić nie chciał na założenie polskiego Towarzystwa pomocy naukowej z charakterem bractwa, jakkolwiek z statutów poskreślano już wszystko, co tylko brzmiało trochę z polska.

(Dokończenie nastąpi.)

Stosunki partyjne Czech.

(Dokończenie.)

Obok tego poczęła się szybko rozwijać publicystyczna i literacka działalność postępowców. W roku 1891 studenci posiadali swój „Czasopis czeskaha studentstva", ogólnym zaś organem politycznym była „Neodvislost"; postępowa młodzież robotnicza i handlowa miała również swe organy. Oprócz tego postępowcy wydawali dwa pisma literacko-społeczno-polityczne: "Nove Prondy" i „Rozhledy" i cały szereg dziełek naukowych i literackich, tudzież broszury o najrozmaitszych kwestyach politycznych.

Ruch młodzieży zaniepokoił stronnictwo młodoczeskie. Organa młodoczeskie usiłowały początkowo zabijać milczeniem wszystko, co czynili postępowcy, ale nigdy to nie skutkowało, wówczas Młodoczesi wystąpili przeciwko postępowcom. Jeszcze bardziej niż Młodeczechów zaniepokoił ruch postępowy rząd, t. j. namiestnika Czech hr. Thuna. Rząd uznał postępowców za wrogów niebezpiecznych i tylko czekał sposobności, aby zadać cios śmiertelny całemu ruchowi. Sposobność ta niebawem nadarzyła się.

W miarę wzrostu ruchu do postępowców poczęły lgnąć najróżnorodniejsze żywioły, pomiędzy któremi łatwo mogli się znaleść ludzie, nic wspólnego nie mający ani z programem stronnictwa, ani z głównem jego jądrem, ani ze stojącą na czele ruchu utalentowaną młodzieżą. Te to żywioły, roznamiętnione skrajnie opozycyjnemi mowami pewnych posłów młodoczeskich, dopuściły się często szkolarskich wybryków o charakterze antydynastycznym jak n. p. zasmarywywanie orłów państwowych na skrzynkach pocztowych, śpiewanie po pijanemu pieśni rewolucyjnych, urządzanie bójek z policyą i t. d. Zamiast zapatrywać się na podobne rzeczy jako na zwykłe zakłócanie spokoju, władze praskie wydęły je do iście potwornych rozmiarów, zrobiwszy z piętnastoletnich chłopaków niebezpiecznych przestępców, zagrażających całości monarchi Habsburgów. Wyni-

---

— Nie jesteś chyba łotrem skończonym, nie mówiłbyś inaczej tak wiele o tem! Czy możesz zaprzeczyć?

Bergström zaśmiał się z jej zapału.

— Ale, jaka z ciebie mądra dzieweczka, Engelko! — rzekł — chodź do mnie, droga moja, dla czegoś tak daleko odemnie uciekła?

Wstała i ku niemu podeszła.

— Siadaj obok mnie, najdroższa; tak, teraz znowu nam dobrze. Masz słuszność, mówiąc, że jestem dobrym: jestem w gruncie „un bon garçon", jak mówią Francuzi. To moja cała „raison d'être". Najlepszym tego dowodem jest to, że się na tobie poznałem... Wiesz, Engelko, gdy tak siedzisz cicha, z twarzyczką twą pełną zadumy, nie mogę oprzeć się chęci odgadnięcia tego, nad czem też myśl twoja pracuje w tej chwili. Może nad tem, może nad owem: gubię się w domysłach, nie mogąc dać sobie rady. Ot, lepiej sama powiedz, o czem myślisz, powiedz mi na przykład, jak zapatrujesz się na przedstawiony ci przed chwilą dowód mej dobroci?

Podniosła ku niemu głowę.

— Chodź, powiem ci do ucha: Jest znakomity! — szepnęła.

Uścisnął ją i nagle począł śmiać się serdecznie na cały głos.

— Engelko, co to za woń szczególna rozchodzi się dokoła? nie czujesz? Bóg wie, co to być może, bo chyba nie samochwała, w każdym razie ty jej nie czujesz, nieświadoma grzeszniczko! Droga Engelko, czy wiesz, jak ja cię kocham? jak bardzo cię kocham!...

Ręce ich splotły się w uścisku wzajemnym.

Po chwili Bergström poruszył fotel, który zlekka się zakołysał.

— Chciałem ci jeszcze powiedzieć, Engelko, że to, co przed chwilą mówiłem o literaturze, nie jest tylko kaprysem przelotnym — tak myślę w istocie — to nie były tylko paradoksy, zaprawdę. Sądzę, że taka poezya zła, takie namiętne zgłębianie jego istoty oddałoby niezmierzone usługi, działając jako nowa na świecie potęga; służyłaby nietylko do wywoływania nastrojów estetycznych, — rzecz zbytku bądź co bądź, która można odrzucić z łatwością, jeśli się chce. Poezya ta byłaby promieniem palącym, żar którego nie dałoby się zgasić!... W serce każdego człowieka skierowałaby poezya ta promień swój jasny, a tam, nawet w popiołach, znalazłby on pokrewną mu iskierkę... Dalibóg, jak wspaniały pożar wzniecono by wówczas w starej naszej Danii! widzielibyśmy wówczas stare teorye profesorskie w przedśmiertnych podrygach się wijące... No tak, bo przecież to wszystko są profesorskie teorye, któremi teraz żyć musimy, a właściwie od których umieramy, my wszyscy, którzy w tym kraju w ogóle myśleć umiemy. Rozumie się, że nie mam tu na myśli owych „zasad kierujących" z czasów ojców naszych, to nie są nawet teorye profesorów, lecz idyotyzmy wprost. Ale weźmy nawet te dobre zasady, na których wychowaliśmy się, które stały się krwią krwi naszej, kością naszej kości — gdzież te się podziały? Nie możemy się niczem przejąć do głębi, nie potrafimy szczerze oburzać! jesteśmy wypaleni, znużeni, zupełnie do niczego jednem słowem! Nazwij mi choć jedną ideę, którąby nas jeszcze zagrzać mogła. Wolność może? Można do niej zastosować słowa, które Beyle o Bogu był powiedział: „jedno, co go usprawiedliwia, to to, że nie istnieje". A czy może wzbudzić w nas uczucia jakieś, to co nie istnieje? Inni porzucają wszelkie idee i uprawiają „l'art pour l'art", sądząc, że zdołają nas tem zająć, rozgrzać do czegoś. Miły Boże! co to wszystko warte?

Stanowczo nie będzie lepiej, dopóki ten zły człowiek się nie zjawi, tylko jego nam trzeba! Lecz nie przyjdzie on tak prędko: płomienna jego dusza nie może powstać wśród takich, jak lud nasz, zjadaczy chleba! Engelko, jakie to wszystko smutne! jak strasznie smutne!...

— Dla czego jednak teraz tak się na to zapatrujesz? Dawniej nie widziałeś rzeczy tak czarno, byłeś weselszy? — spytała nieśmiało.

— Tak, ale pojmujesz chyba, że to jest właśnie najlepszym mego rozwoju dowodem

kiem tego był słynny proces t. zw. „Omladiny“, który się skończył tragicznie. Kilkudziesięciu młodzieńców zasądzono na karę więzienia, a w liczbie skazanych znaleźli się i główni kierownicy ruchu postępowego: H a j n, R a s z y n, S o k o l i S z k a b a. Oskarżano ich o zawiązanie tajnego antydynastycznego stowarzyszenia „Omladina“.

Cała sprawa z t. zw. „Omladiną“ przedstawia się dość niejasno; rzecz jednak niewątpliwa, iż agent-prowokator Mrva odgrywał w całej tej smutnej historyi rolę bardzo czynną. Pomimo całego szeregu sztuczek sofistycznych, użytych w tym procesie przez prokuratoryę, nie udało się jej nawet tego dowieść, że „Omladina“ istniała rzeczywiście.

Proces t. zw. „Omladiny“ zadał silny cios młodemu ruchowi, pozbawiwszy go głównych kierowników, ale zabić go już nie mógł. Postępowcy zyskali sympatyę we wszystkich warstwach narodu czeskiego i działalność ich rozwija się z wielkiem powodzeniem. Najlepiej widać to na ich działalności literackiej. Liczba ich organów doszła do piętnastu. (Główne z nich — „Radikalni Listy“ i „Roztledy“.) Od pół roku wydają postępowcy dwa krajcarowe pisemka: „Ruch“ i „Lid“, które mają przeszło 20,000 prenumeratorów., pomimo, że w Pradze są zabronione wskutek stanu wyjątkowego.

Stan wyjątkowy, na zasadzie którego zawieszono trzy pisma postępowe i zawiązano główne ognisko życia umysłowego młodzieży czeskiej — stowarzyszenie „Slavia“ (które posiadało ogromną bibliotekę i mnóstwo pism we wszystkich językach) zmusił postępowców do przeniesienia działalności głównie na prowincyę.

Postępowcy posiadają całkiem określony szeroki i jasny program. Jednakże różne punkty programu tego nie przedstawiają pewnej całości organicznej, tak, że rozpatrując ten program, od razu widzimy, jakie i jak różnorodne czynniki wpłynęły na jego ostateczne sformułowanie.

Za postępowca uważają każdego, kto jest przeciwnikiem gnębienia narodu przez naród, płci przez płeć, klasy przez klasę. Wychodząc z tej zasady, żądają postępowcy reorganizacyi Austryi na podstawie 1) zupełnego równouprawnienia wszystkich narodowości, 2) federalistycznego połączenia wszystkich prowincyi zagranicznych na zasadzie warunków naturalnych (historycznych albo etnograficznych), przyczem prawa każdej mniejszości narodowej powinny być ściśle zagwarantowane. Postępowcy żądają zupełnej wolności sumienia, słowa, druku i t. p. powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego głosowania bez różnicy płci, zastąpienia wojsk przez milicyę, bezpłatnego sądownictwa z odpowiedzialnością prawną urzędników za wszelkie przekroczenie ustaw podczas pełnienia obowiązków służbowych. Następnie postępowcy dążą do zaprowadzenia nauki bezpłatnej, reformy nauczania w duchu wymagań współczesnych, oddzielenia Kościoła od państwa i t. d.

Dotąd postępowcy nie zorganizowali się w całkiem samodzielne stronnictwo polityczne. Przedstawiają oni coś w rodzaju lewego skrzydła stronnictwa młodoczeskiego, przyczem stosunek ich do przywódców obozu młodoczeskiego jest dość dziwny. Program postępowców wielce się różni od programu młodoczeskiego, a ich działalność praktyczna bardzo mało ma wspólnego z działalnością p. p. Greprów, Heroldów i Vaszatych. I w kwestyach polityki zewnętrznej, zwłaszcza względem Rosyi, postępowcy stoją na całkiem innem stanowisku, aniżeli krzykacze młodoczescy. Mimo to nie zrywają oni związku z Młodoczechami. Taki oportunizm dowodzi albo tego, że postępowcy nie przyjmują swego programu na seryo, albo tego, że chcą, aby Młodoczesi wyciągali dla nich kasztany z ognia. W ostatnim wypadku musielibyśmy przyznać, że młode stronnictwo postępowe wkracza na śliską drogę politykowania, które może je zdemoralizować, ale korzyści rzetelnej nie przyniesie.

Jeśli postępowcy zdołają otrząsnąć się z tego oportunizmu, wówczas mogą liczyć na wielkie powodzenie, zwłaszcza obecnie, kiedy stronnictwo staroczeskie zeszło ze sceny, młodoczeskie zaś, nie spełniwszy swych obietnic, poczyna tracić zaufanie społeczeństwa. Jedynym poważnym przeciwnikiem postępowców stanie się w przyszłości stronnictwo socyalno-demokratyczne, które właśnie w Czechach będzie święciło pierwsze tryumfy po wprowadzeniu powszechnego głosowania.

Czechy rozpadają się na dwie części: południową — rolniczą i północną — przemysłową. W części południowej znajduje się dość dużo cukrowni, browarów i gorzelni, te jednak nie są w stanie zapewnić pracy dla wciąż wzrastającego liczebnie proletaryatu, pozbawionego ziemi. Wskutek tego masy ludności roboczej dążą do północnej części Czech, gdzie znajdują zarobek w licznych fabrykach i kopalniach. Oprócz tego znaczna część proletaryatu zdobywa kęs chleba w południowo-zachodnich Czechach, gdzie jest bardzo rozwinięty przemysł rękodzielniczy, tudzież w Pradze, stanowiącej bogate ognisko przemysłowe. W północnej i wschodniej Morawii, jako też i na Szląsku, znajduje się obszerne pokłady węgla kamiennego, umożliwiające rozwój górnictwa i hutnictwa w najszerszych rozmiarach.

Robotnicy czescy posiadają przeszło 20 organów i całą sieć różnych stowarzyszeń, które ułatwią im zwycięstwo we wszystkich okręgach wyborczych, gdzie większość stanowi ludność robotnicza, wówczas, kiedy nastąpi załatwienie reformy wyborczej w Austryi. Obecnie socyalni demokraci odnoszą zwycięstwa przy wyborach do reprezentacyi miejskich miast fabrycznych.

Na robotników zwrócili uwagę i klerykalni, którzy założyli stronnictwo „chrześciańsko robotnicze“ i wydają parę organów dla klasy roboczej. Wogóle duchowieństwo bierze nader czynny udział w życiu politycznem narodu czeskiego, głównie starając się oddziaływać na masy za pomocą taniej prasy popularnej. Pisemka klerykalne „Kriż“ i „Marie“ rozpowszechniają się w olbrzymiej ilości egzemplarzy. Były próby założenia samodzielnej partyi klerykalnej, ale te dotąd się nie powiodły i obecnie klerykali działają w sojuszu ze Staroczechami i szlachtą, która stanowi w Czechach stronnictwo samodzielne, dość nieokreślone pod względem narodowym.

Tak przedstawia się położenie Czech przy obecnym systemie w Austryi, jednakże reforma wyborcza może przekształcić ugrupowanie stronnictw czeskich dość znacznie.

Leon Wasilewski.

Praga w maju.

Przegląd prasy polskiej

zaboru pruskiego.

„G a z e t a T o r u ń s k a“ poświęca w nr. 139 wstępny artykuł stosunkom prasowym w Prusiech. Z artykułu tego cytujemy ustęp następujący:

„Stosunki prasowe układają się w Prusiech Zach. bardzo pomyślnie, albowiem mamy redakcye aż w czterech punktach t. j. w Toruniu (2), Grudziądzu, Pelplinie i Gdańsku (2), kiedy pisma wielkopolskie wszystkie, z wyjątkiem „Dziennika Kuj.“ (w Inowrocławiu) wychodzą w jednem miejscu t. j. w Poznaniu. Skoro jeszcze Chojnice zdobędą się choćby na pisemko dwa razy tygodniowo wychodzące, to wtenczas wszystkie ważniejsze w naszej dzielnicy punkta będą miały tak ważne posterunki, jakiemi są redakcye pism polskich.

Co do objętości pism naszych również zachodzi rozmaitość odpowiadająca w zupełności naszym potrzebom, albowiem na sześć pism, jakie będziemy mieli w przyszłym kwartale, 1 wychodzi raz w tydzień („Tyg. Gd.“), 1 dwa razy („Przyjaciel“), 3 po trzy razy („Pielgrzym“, „Gaz. Gd.“ i „Gaz. Gr.“), a 1 (nasza gazeta) sześć razy. Prenumeraty bierze 1 pismo fenygów 45, 1 fenygów 75, 1 fenygów 100, 1 fenygów 125 i 2 po 150 fenygów. Wielkie, kilkomarkowe dzienniki dochodzą do nas z Poznania, a wydawanie takiego pisma u nas nie miałoby racyi bytu, ponieważ ludzi, którym

---

że lepiej mi teraz. Nie możesz tego zrozumieć?

Engelke zaprzeczyła głową.

— Ależ bądź trochę moją kochaną, roztropną dzieweczką. Pomyśl, dla czego to ze mną lepiej się dzieje obecnie niż przedtem?

Engelke myślała przez chwilę.

— Przedtem byłeś obojętny — rzekła cicho, w obawie, że może nie odgadła.

— Otóż to właśnie! Czy nie tak? Pewien Francuz, jeśli się nie mylę, Toquerille, powiada, że państwa rewolucyonizują się, gdy tylko polepszają się ich stosunki. Tak samo rzecz się ma ze mną: teraz widzę dopiero nędzę mą poprzednią, teraz kiedy mi dobrze. A wiesz kto najwięcej dopomógł mi wydostać się z tego stanu zobojętnienia i apatyi? Oto moja mała, słodka, fanatyczna narzeczona.

Engelke spojrzała na niego zdziwionemi oczyma.

— Ja jestem fanatyczką? — spytała.

— O i jak jeszcze, Engelko, a to tem więcej, że nawet o tem nie wiesz.

Na twarzy jej widać było zadumę.

— Dla czego? — spytała.

— Posłuchaj, droga Engelko: zdaniem mojem istnieje wiele rodzajów fanatyzmu. Są prawdziwi monomani — z tych rekrutują się religijni i antireligijni fanatycy, i ci są najniebezpieczniejsi. — Są bowiem ludzie, którzy fanatycznie wierzą np. w to, że każdy dzwon kościelny jest dzwonkiem błazeńskim — inni znowu wierzą święcie, że każda iskra śmielszych poglądów i zapałów z piekielnego ognia pochodzić musi. Do tych ostatnich należy i wspólny nasz przyjaciel, Nörgaard. Dla ludzi tych biednych nic nie znaczą wszelkie wyjaśnienia; — ich natura cała, temperament cały już ich w tym popchnęły kierunku; byli oni przeznaczeni, że tak powiem, na ofiary fanatyzmu. Inaczej rzecz się ma z duszami takiemi, jak twoja: jest ona niezmiernie wrażliwą i silnie odczuwającą, w tem twoje pokrewieństwo z monomanami, ale jest ona zarazem tak delikatną, tak czułą, że instynktownie cofa się przed wszystkiem, czemu całkowicie oddać się nie może, że drży i niepokoi się na widok czegoś niemiłego. Istotę jej stanowią tęskne marzenia, pełne nieokreślonych obaw i nadziei. Nieprawdaż Engelko? Zauważyłaś sama zapewnie jak niepewne, chwiejne są wogóle sympatye twoje; masz pewne pragnienia i dążenia w życiu twojem, lecz one nigdy nie przybierają form ustalonych.... Ale dla tego właśnie nabierają myśli twoje i uczucia owego nieokreślonego wdzięku, owej ukrytej, tajemniczej poezyi obietnic, właściwej wczesnej, bladej wiośnie.... A twoje nienawiści, te może są więcej określone niż sympatye — one to są ważnym bardzo czynnikiem w fanatyzmie — są dlań tem, czem ogień dla stali: rozpalając — hartuję. O, znam je dobrze: wiem, że jesteś nieprzyjaciółką srogą kłamstwa — tego przedewszystkiem, — głupoty, proroctwa, które coraz więcej wszędzie dostrzegać się daje; wiem, że cię to wszystko razi, bo słuch twój czuły, a niewinne są uczucia twoje, Engelko.... Lecz cóż ty na to? Zgadzasz się w milczeniu? a może śmiejesz się w duchu ze mnie? O wiele byłoby też lepiej i rozsądniej, gdybyś mi sama coś o sobie powiedziała.

Engelke spojrzała na niego z uśmiechem.

— Ależ ty o wiele lepiej wszystko mówisz, niż ja uczyniłbym to mogła! a to dla tego zapewnie, że ty przecie nauczyłeś mnie być taką....

Schyliła głowę, a po chwili, jakby do siebie, rzekła;

— Wyidealizowałeś mnie, to pewna; lecz nie widzę nic nadzwyczajnego w tem, co powiedziałeś, — nie trudno być taką!... wiem, że nie jestem zbyt zajmującą, a dla tego całkiem to naturalne, że chciałbyś uczynić mnie taką niezwykłą, wyróżniającą się z pośród innych... masz tak bogatą fantazyą....

— Ale mniejsza o to! — rzekła tuląc się do niego, — jeśli mnie tylko kochasz, Jerzy, — bo ja tak z ciebie jestem dumna....

Bergström pogłaskał jasne jej włosy i pocałował.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

takie pismo potrzebne, niestety w Prusiech Zach. jeszcze za mało“.

—

Z Prus Zachodnich donoszą do „Dziennika Kujawskiego“ (nr. 138):

„Garstka już tylko istnieje u nas większych posiedzicieli ziemskich. a i ci przerzedzają się coraz więcej. W ostatnich latach przeszły w obce ręce piękne majątki Jackowskich, Kobylińskich, Kalksteinów, hr. Czapskich, hr. Mielżyńskich (Ryńsk), Sułczyńskich, Czarlińskich (Chwarzno) i t. d. Obecnie znowu wkrótce prawdobodobnie innoplemieniec kupi prześliczną włość Topolno nad Wisłą. Znajduje się tu piękny kościół z cudownym obrazem Matki Boskiej. Co miesiąc odcywa się w Topolnie jarmark. Właścicielem jest pan Kublicki-Piottuch. Termin sprzedaży naznaczony na dzień 12 lipca. Będzie to wielki cios dla narodowej sprawy, jeżeli ów majątek zakupi komisya osadnicza, a zanosi się na to, gdyż doświadczenie uczy, że chętnie kupuje ta instytucya rządowa wsie kościelne i płaci za nie nawet w danym razie wyższe ceny ponad rzeczywistą wartość. Mimowoli przypominają się się słowa cara Mikołaja: „Będziecie mieli Polskę, ale bez Polaków“.“

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że subhasta Topolna została cofniętą. (Przypisek Redakcyi).

—

Wiadomo czytelnikom naszym z przeszłego numeru, że maleńkie pisemko „Warmiak“ reklamuje się publicznie jako „jedyna gazeta polsko-katolicka zwalczająca humbug narodowościowy“, mianując się nadto „pismem dla duchowieństw i ludu katolickiego“. Sprawie tej poświęca „Goniec Wielkopolski“ następujące uwagi w nr. 143:

„Przestrzegaliśmy już nieraz Czytelników naszych przed owymi germanizatorami, którzy to pod płaszczykiem bronienia wiary św. katolickiej starają się wynarodowić lud nasz polski w pruskim zaborze.

Jeżeli dawniej na Górnym Szląsku tylko i jedynie przez jednostki system ten germanizowania był praktykowany, to w ostatnich czasach mieliśmy przykłady tego, że niemieckie duchowieństwo i w innych prowincyach polskich zbiorowo występowało przeciwko polskości i tam przykładało ręki do wydzierania nam tego, co Pan Bóg dał każdemu człowiekowi najświętszego na tej ziemi, t. j. języka ojczystego.

Pamiętamy te zapasy namiętne, jakie n. p. duchowieństwo katolickie niemieckie staczało podczas ostatnich wyborów parlamentarno-sejmowych w Raciborzu, gdzie nawet wydawało po polsku osobną gazetę duchowną, wymierzoną przeciwko i na zabicie „Nowin Raciborskich“.

Nie inny też cel ma tygodnik drukowany w Olsztynie p. t „Warmiak“, wymierzony w pierwszej linii przeciwko „Gazecie Olsztyńskiej“, a pośrednio i przeciwko innym pismom polskim, wychodzącym w Prusach Zachodnich.

W oczach tego pisma „dla duchowieństwa katolickiego“, przyznającego się do „zasad politycznych Centrum“, owego Centrum, którego luminarze tacy, jak nieboszczycy Gerlach, Malingrodt, Windhorst, a w ostatniej kadencyi sejmowej Porsch, Conrad, Dasbach, Heeremann i inni występowali śmiało w obronie praw należących się Polakom, — narodowość polska to humbug, który ci krzyżaccy rycerze śmiało zwalczać postanowili!

Wilcze pazury wychodzą z pod tego duchownego płaszczyka, będziemy też wiedzieli, z kim mamy do walczenia i ta „jedyna gazeta polsko-katolicka“ polskiej publiczności czytającej chyba nie zdurzy i nie skusi“.

—

Korespondent berliński „Gazety Toruńskiej“ pisze w nr. 142:

„Berlińscy akademicy nie pozostali w tyle poza lipskimi i założyli dziś akademicką grupę spółki HKT. Zebranie w tym celu zwołał Związek niem. studentów. Pierwszym mówcą był jakiś „oberstleutnant“ Jahns. Treść jego mowy, opartej niby na faktach historycznych, nie różniła się od treści innych tego rodzaju wynurzeń. Następnie przemawiał za utworzeniem grupy akademickiej „generalleutnant“ Teischmann, naczelnik berlińskich HKTystów. W końcu oznajmił p. Tiedemann, że nowozałożony „Bank“ w Poznaniu tylko na pozór, aby Polaków zbyt nie drażnić, przeznaczony dla całego państwa pruskiego. W rzeczywistości będzie on tylko w polskich działał okolicach. Dalej prawił pan Tiedemann, że należy zawsze naprzód iść, nowe okolice zdobywać, bo kto cicho stoi, cofa się. Zwyczajny profesor prawa na uniwersytecie berlińskim, tajny radzca sprawiedliwości dr. H. Brunner, który w kwietniu przemawiał przy zakładaniu grup męskiej i żeńskiej, był na zebraniu dzisiejszem również obecny, ale głosu nie zabierał. Studentów zebrało się około stu, a wśród tych wielu „ciekawych“. Na kilka tysięcy studentów to bardzo niewiele. Dowodzi to, że młodzież niemiecka, o ile nie stoi na żołdzie funduszu antipolskiego i t. p., nie bardzo sprzyja hecy antipolskiej sławetnej spółki HKT.

Dziwi nas, że p. minister oświaty i p. rektor, którym zawadzało niewinne towarzystwo naukowe polskie, spokojnie patrzą, jak wysłużeni rębacze wciągają młodzież uniwersytecką do agitacyi, która zakłócić musi stosunki koleżeńskie wśród akademików, a udział profesorów w tej robocie nie może im wśród akademików Polaków dodać sympatyi. Takie postępowanie może tylko mniej wyrobioną młodzież polską pędzić w sieci radykałów, którzy, nawiasem mówiąc, zdołali w spółce z żydami opanować berlińską Czytelnię akademicką“.

—

„Orędownik“ zamieszcza w nr. 143 artykuł p. t. „Nasi goście z Galicyi na wystawie“, wykazując różnicę między stosunkami Galicyi a Księstwa i wynikającą z nich konieczność pewnego ograniczenia przyszłych owacyi poznańskich. Końcowy ustęp artykułu brzmi:

„Tu w Poznaniu i w zaborze pruskim, na tej historycznej ziemi, na której stała kolebka przez tysiąc lat sławnego a dziś już nie istniejącego państwa polskiego, stoimy i żyjemy i ratujemy wśród wytężonych zapasów z siłami przeciwnemi to, co narodowi polskiemu z sławnej ongi Polski pozostało. Nie stać nas ani na książąt Sapiehów, ani na Mochnackich, ani Marchwickich, ani na Badenich. Nasze stanowisko jest inne od stanowiska braci naszych w Galicyi. Stoimy na kresach narodu polskiego frontem zwróceni nie naprzeciw Czechom, Węgrom lub Rosyanom, ale naprzeciw żywiołowi niemieckiemu. Stoimy tu — obozem narodowym i wszystkie siły wytężać musimy ku obronie tego obozu.

Przyjmiemy więc całem sercem braci Galicyan — ale po obozowemu: szczerze, serdecznie, ale i z zachowaniem tej ostrożności, jaka w każdym obozie jest potrzebna, żeby przeciwnych sił nie wywołać z lasu“.

—

Przesada. „Dziennik Poznański“ poświęca w nr. 142 oddziałowi robót kobiecych na wystawie poznańskiej bombastyczny artykuł, z którego cytujemy ustęp następujący:

„Nie wątpimy, że ks. Bismarck, gdyby na wystawie naszej zwiedził dział pań polskich, nie omieszkałby znów wygłosić ognistej mowy na znany temat. To jego uznanie dla kobiet naszych jest chyba najlepszym dowodem, jak idealnie spełniają swe obowiązki w rodzinie i w narodzie.

Jak niegdyś Chrzanowska ocaliła Trembowlę, tak dziś pracowite dłonie pań naszych przyczyniły się niemało do podniesienia znaczenia naszego na wystawie prowincyonalnej“.

Taka napuszona przesada wyrządza kobietom naszym wątpliwą przysługę. Okazy ich pracy zasługują bez wątpienia na szczere uznanie i społeczeństwo nasze jednomyślnie oddaje im hołd należyty. Ale właśnie dla tego nie wolno niezręcznym panegiryzmem psuć korzystnego wrażenia, nie wolno łączyć znakiem równania bohaterstwa Chrzanowskiej z mistrzostwem w haftach, robotach koronkowych i t. d. Jest to niesmaczne i śmieszne, a nasze panie nie zasłużyły sobie na to, aby im taką niedźwiedzią wyrządzać przysługę.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Il Pensiero Slavo“ rozpisuje się o rozwoju szkół ludowych w Dalmacyi.

„W roku 1880 liczył kraj nasz 1.89 proc analfabetów; w roku 1890 tylko 1.85 proc. W roku 1869 istniało 218 szkół ludowych, do których uczęszczało 19.465 chłopców, do nauki zobowiązanych; w roku zeszłym było szkól 351. a uczęszczających 36.000 dzieci, pomiędzy niemi 22.500 chłopców, 13.000 dziewcząt.

„W ostatnim czasie wzrosła znacznie liczba szkół w okolicach górzystych Dalmacyi: szkołę zakładano wówczas tylko, gdy można było liczyć z całą pewnością, iż nie pozostanie bezczynną z braku siły nauczycielskiej.

„Szkoły ludowe spotykał z wielu stron zarzut, iż są mięszane co do płci. Zarzut ten wykazał się w praktyce niesłuszny i nie wywołał ujemnych skutków co do moralności. Dzieci chorwackie płci obojga przyzwyczajone są do wspólnego pożycia, bo je pozostawiają bez dozoru podczas paszenia bydła w odludnych miejscowościach, a przecież nic złego się nie dzieje.

„Dobry rezultat wydają również takie szkoły w Bośni i Hercogowinie, gdzie szkół oddzielnych dla każdej płci nie ma.

„W roku bieżącym istnieje w Dalmacyi szkół ludowych 438. Również zmieniono plan

---

ANTONI ZŁOTNICKI.

BOSFOR.

(Nokturn.)

Mojej Narzeczonej.

W przezroczym stroju nocy letniej, ujęty w brzegi róż i cyprysów, Bosfor płynie bez szmeru.

Życie zasnęło, ziemskie światła zagasły, blade światło księżyca kąpie się jedynie w wód zwierciadle.

Urocza cisza nocy letniej!

Troski ludzkie ulatują gdzieś w dal pod snu tchnieniem i tchnieniem tej ciszy...

Niebo, to niebo niedościgłe, nieuchwytne, krwawiące się niedawno na widok skonu słońca, zanurza się w wodną tę płaszczyznę ze swemi gwiazdami i blaskiem księżyca i zdaje się być tak blizkiem, tak dostępnem dla wszystkich....

Chwilami zda się, że dźwięk skargi ludzkiej przewija się w powietrzu, że hymn żałoby rozbrzmiewa gdzieś w duszach ludzkich.

Błędne dumania i trwogi nocne i głuche jęki i rojenia miłosne i westchnienia tęsknoty i szepty tajemnicze zlewają się w melodyę jakąś smutną, nieuchwytną, ulatającą gdzieś w obszary nieskończoności.

Echa niewyraźne, pokaleczone błąkają się w powietrzu i dźwięczą jak serca kobiece, które odpowiadały już na nawoływania miłości. Niektóre wyrazy zamierają w nich, jak gdyby potykały się o groby głuche, o mogiły cmentarne, inne znowu przeobrażają się w wybuchy ironii lub łkania.

Mam w pamięci noc bolesną, noc burzliwą, spędzoną w objęciach jednej z tych kochanek nieszczęśliwych. Pragnienie rozkoszy jedynie pchnęło nas ku sobie, miłość jak gość nieoczekiwany zjawiła się na uczcie naszych pocałunków. Była to miłość z całym swym orszakiem nadziei bezgranicznych, z wylewem słów z głębi duszy: „Do Ciebie należeć będę zawsze, na zawsze!“

Błagała mnie, bym powtarzał jej te słowa; lecz gdym je wymawiał, gdy z warg mych przenosiły się do jej uszu, zamykała mi usta swą ręką i rzucała się we łzach, wołając: „Kłamiesz, ty mnie porzucisz, ty mnie nie długo kochać będziesz!“

Płakała nademną i nad sobą, nad zwodniczą nadzieją, której czczość znaną jej była zbyt dobrze. Przypomniała sobie, że te same słowa słyszała już dawniej od innych, Lecz gdzież są serca świeże, bez pamięci, niewiedzące, że się kłamie, gdy się mówi: „Na zawsze!“

Śpij spokojnie niewiasto kochająca! kochanek twój, marząc o tobie, uzupełnia cię, obdarza cię tem, czego ci brak, abyś była podobną do tej, której jesteś odbiciem, echem, do Ideału, a której nie wyróżnia jeszcze od ciebie, bo mu miłość ślepotą wzrok jego osłoniła!...

Lecz, cóż to za głosy ośmielają się przerywać pieśń błędnych dumań z falowań ech tajemniczych płynącą?

Co za rozpaczliwy krzyk prześlizgnął się w powietrzu!

Po Bosforze przebiegła fala, marszcząca lekko gładką jego powierzchownię. To Newa, ofiara iluzyi zniknęła w jego głębi.

Na ołtarzu miłości nic się nie zmieniło: przybyło mu tylko o jedną plamę krwistą więcej....

I znowu muzyka nadziei, zapowiedź lepszego jutra przenika powietrze nocy letniej.

Jutro pełne nadziei, jutro — dzień święta po dzisiejszym smutku, dzień nowych złudzeń, dzień radości, dzień szczęścia....

Niebo, to niebo upragnione przez wszystkich, unoszące się na wód powierzchni i uśmiechem swym ponętnym wabiące nas ku sobie, nad całym światem jutro zabłyśnie, wszystkich promieniami wesela uszczęśliwi i rosę łez ich wysuszy.

nauki w seminaryach nauczycielskich, zaprowadzając naukę ekonomii. W Dubrowniku istnieje jedna tylko na całą Dalmacyą wyższa szkoła dla dziewcząt, do której posyłają swe córki także zamożniejsi Czarnogórzy.

„Poczyniono też kroki odpowiednie, ażeby wychowańców seminaryów zapoznać szczegółowo ze służbą okrętową i żeglarską oraz i rybołóstwem, jak to się dzieje w seminaryach nauczycielskich w Danii i Szwecyi, gdzie nowość ta wydała skutki nader pożądane.

„W szkołach powinna być dziatwa przygotowywana do życia praktycznego, powinno budzić się w niej systematycznie zamiłowanie do stanu, do którego należy. Tym sposobem zwiąże się instytucya szkół z narodem, co powinno być głównym celem działalności naszych władz pedagogicznych. Dziś lud chorwacki przychodzi do przekonania, że w krótkim czasie wszystkie kwestye polityczne zejdą na plan drugi wobec kwestyi socyalnej, ztąd społeczeństwo należy zwolna przygotowywać do reform racyonalnych, mających byt jego ekonomiczny polepszyć.

* * *

„Slovenski Svet“ tak charakteryzuje studentów czeskich:

„Pierwszą cechą charakterystyczną jest u studenta czeskiego jego poczucie narodowe, posunięte aż do fanatyzmu. Studenci czescy tem się różnią od studentów niemieckich, że niema w nich rozwiniętej dumy chorobliwej i wyłączności takowej. Student czeski obcuje z pomocnikami handlowymi, robotnikami, czeladnikami, a podczas agitacyi wyborczej stanowi on najgłówniejszy zastęp agitatorów. W ostatnich latach poczęła się wśród studentów szerzyć idea socyalno-demokratyczna. Dla swych przekonań narodowych jako zwolennicy prawa państwowego czeskiego, cieszą się studenci wielką popularnością wśród najszerszych warstw społeczeństwa czeskiego.

Związki studenckie upatrują swój cel główny w agitacyi narodowej. Urządzają na prowincyi zabawy, organizują wycieczki do okolic w połowie zniemczonych, aby tam obudzić ducha narodowego.

Jak naród tak i studenci czescy dzielą się na dwa obozy: Staro- i Młodoczechów. Centrum Młodoczechów było zawsze „Slavia“, do której należała poważna część studentów. Punktem zbornym młodzieży staroczeskiej jest: „Akad. Cztenarski Spolek“, który się cieszy sympatyami t. zw. szlachty. Mimo to, iż rozdział istnieje, studenci czescy łączą się zgodnie gdy idzie o walkę z Niemcami.

„Pomiędzy studentami czeskimi a niemieckimi nie ma żadnej styczności.“

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

NA ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornem mroczu, we mgle szarej,
Idzie przez łąki, przez moczary
Zaduma polna, posępnica,
Idzie przez miedze i przez pole,
Pomiędzy wierzby i topole,
Kędy się włóczy żal, tęsknica...
Po pustkach, ścierniach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Przez wiklinowe idzie gaje
I na cmentarzu ciemnym staje,
Gdzie grób dziewczyny młodej, siada,
W świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony..
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona.

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej płacze, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach, czy obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna ztąd odchodzi..
Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wróci nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad zamroczone, ciemne domy:
Wleką się, snują gdzieś daleko,
Nikną gdzieś w pustce i przestworzu,
W zmroczy ogromnej, nieruchomej...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą,
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz grubszy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonął ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swojem złem i bolem
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swoje, swój ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą,
I swoje losy klnie straszliwe,
Z jękiem, przekleństwem i rozpaczą
Przez zasępioną idzie niwę,
Idzie, jak widmo potępione,
Wicher koło niej tylko tańczy;
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędy gościniec jej wygnańczy.
Nigdzie tu miejsca nie ma dla niej,
Nie ma spoczynku, ni przystani...
Niedoli palcem naznaczona,
Napiętnowana klęsk stygmatem,
Idzie szerokim, mrocznym światem,
Z bólu bezsilne gnąc ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony.

Kazimierz Tetmajer.

OLLA HANSSON.

BÖCKLIN.*)

I.

Przez las sosnowy, na jednorożcu, na dziwnym tym zwierzu baśni, jedzie młoda kobieta. Jest to — w połowie lata, w południe: w gęstwinie panuje wprawdzie chłód i zmrok zielonawy, po przez pnie jednak prześwieca białawy niemal błękit dnia. Zwierzę posuwa się zwolna, po równej, cienistej ścieżce, brzegiem lasu: podniosło głowę, a wielkie błyszczące oczy patrzą prosto przed siebie, natężone, osłupiałe prawie; zdawaćby się mogło, że dziwne to stworzenie postępuje na wpół we śnie, że słucha czegoś, czego my nie słyszymy. Podobnie i młoda kobieta. Zbudowana jest silnie, uderzająco silnie: twarz ma szeroką, surową; lecz oczy patrzą się — zupełnie jak oczy zwierzęcia — wprost przed siebie, z lękliwem jakoby wyczekiwaniem i z pytającem rozmarzeniem. Krzepkie, masywne prawie ciało okryte jest obcisłą suknią z gazy, suknią tak lekką, przejrzystą, że wziąćby ją można za cień zielonego światła. Jest to dziewica dwudziestoletnia, w której lada chwila zbudzi się kobieta i która w dzień letni, w samo południe, sny swoje dziewicze snuje. Naokół — cisza, cisza, przedziwna cisza; słychać tylko lekkie stąpanie cudownego zwierzęcia, które, w lunatycznem jakoby uśpieniu, prowadzi młodą panią swoją przez chłodną, ciemną, zaczarowaną krainę marzeń, podczas gdy po za światem tym stoi i czeka na nią jasne, upalne, południe życia. I we wszystkiem tem jest spokój: w chodzie zwierzęcia i w postawie marzącej dziewczyny — jest spokój w snach i spokój w dniu — najwięcej zaś jest go może w tem olśniewającem, jasnem niebie życia codziennego, które otacza grę zielonych cieni sennego tego marzenia.

Minęło wiele lat i późnym wieczorem, nieopodal willi, położonej nad morzem, stoi nad wybrzeżem kobieta. Była burza — teraz jest cisza. Na niebie kłębią się jeszcze gromady chmur, morze jednak ułożyło się już do snu. Ściemnia się; stopnie willi i marmurowe filary wydają się jeszcze bielsze. Kobieta — mała, samotna — ginie prawie w tym krajobrazie: lecz jednocześnie krajobraz zdaje się być kobiety tej uosobieniem. I ona złożona jest z dwóch tylko barw: z czarnej i białej; czarna suknia spowija smukłą jej postać i w fałdach opada na ziemię, białe oblicze z pod okrycia czarnej koronki, wydaje się jeszcze bielszem. Stoi sama, oparta o skalistą ścianę a wokoło niej zapada zmrok i nastaje cisza i w niej zmrok zapada i cisza nastaje; cisza nocy i spokój po burzach, które równie długo z hukiem przelatywały nad nią, jak przelatują nad cyprysami, osłaniającemi willę. Równie długo?... Tak: bowiem podobnie jak ona, tysiące samotnych, zadumanych kobiet o bladem obliczu, w czarnej szacie stawało i stawać będzie nad brzegiem morza, w wieczorną godzinę życia, podczas gdy zmrok zapadać będzie w nich i naokół nich, podczas gdy wichry ułożą się do spoczynku w przyrodzie i w ich duszy, po burzach, które huczały nad niemi, nad jedną, drugą, dziesiątą — nad wszystkiemi, przez setki lat, przez lata, które już minęły i lata, które dopiero przyjdą. Taką jest ta kobieta w czarnej szacie, jaką wir jakoby opasał jej postać kraj jej zdmuchując na ziemię.

I znowu minęło wiele lat a człowiek, że glając przez życie, dotarł właśnie do nieprzeniknionych mroków „Wyspy śmierci“. W pośrodku morza, które od czasów przedwiecznych w tym samym zdaje się spoczywać spokoju, wznoszą się chropawe ściany skał z otworami, podobnemi do grobów. Spowite są w zasłony, które tka dla nich spadek wód, wypełniających jednostajnym szmerem swoim rozpanoszoną tu ciszę. Dalej — przestrzeń pełna ciężkich chmur: z jednej strony przedziera się może promień słoneczny, lecz trudno go rozpoznać w tym nieokreślonym chaosie. Zaś wnętrze wyspy, bez względu na jej obszar — to absolutny mrok. Z tajemniczego jej łona wyrastają długie, wązkie cyprysy; ku czarnym tym otchłaniom, ku dwom białym słupom, strzegącym wejścia, płynie zwolna, z cicha czółno, w którem stoi człowiek, z głową pochyloną, w biały, szeroki calun odziany. Twarz ma zwróconą ku czarnej przestrzeni, która go za chwilę pochłonie, zdmuchnie tak, jak gdyby nie był: lecz spokojny jest, spokojny jak morze, spokojny jak ruch czółna, spokojny, jak nieruchome cyprysy, zatopiony w tym samym uroczystym spokoju, jaki zawisł nad całym krajobrazem „Wyspy śmierci“.

A oto historya pór życia, tj. historya życia naszego: Na samym przodzie, po obu brzegach strumienia, który cichaczem przerzyna łąkę, pokrytą trawą i kwieciem, skąpaną w błyszczącej zieleni i jaskrawych barwach słońca letniego, siedzi dwoje nagich dzieci. Bawią się, rzucając kwiaty do wody i przyglądając się unoszącym je falom. Tył obrazu zajmuje fontanna z głową sfinksa, z której woda spływa do strumienia. Ona stanowi centrum — przedstawia bowiem niewyczerpane źródło życia. Opodal, z prawej strony, więcej ku przodowi wysunięta, stoi młoda kobieta w ciemno-błękitnej zasłonie, w zasłonie błękitnej, jak niebo i nadzieja a obsianej gwiazdami. Stoi na wpół odwrócona od młodego jeźdzca w hełmie i purpurowem odzieniu — w ręku zaś trzyma kwiatek. Tego, co po za fontanną leży, nie widać, spostrzega się tylko krajobraz i widnokręg; odgadnąć jednak łatwo, że to krajobraz i widnokręgi życia i że od nich powrócił ten starzec, który

*) Przełożyła z upoważnienia autora, Malwina Posner-Garfein.

tam w głębi, w cichej, poważnej siedzi zadumie. Za nim, tuż pod niebem, postać dziwnie fantastyczna — jedna linia prosta, stanowiąca tułów i cztery prostokątne linie, wyobrażające nogi i ręce — olbrzymią spuszcza ku niemu kosę. Wszystkie te postacie cechuje najgłębszy spokój; jest on w tej dziewczynie, która czeka, czeka, nie wie na co czeka — a czeka na życie; jest w młodzieńcu wyprostowanym, nieruchomym, słuchającym jakoby tętna życia, które leży po za fontanną a do którego wedrzeć się pragnie; jest w starcu, który ztamtąd powrócił, wyniosłszy jedynie zadumę swoją. Zaś zaduma ta w jaskrawych barwach zarysowuje przed nim różne obrazy: obraz dziecka, które bezmyślnie rzuca kwiaty w fale, obraz młodej dziewczyny, która stoi i czeka na coś, czego określić nie umie, a co jest życiem pod postacią młodego jeźdzca w purpurowej szacie, lecz i młodzian nie zauważył jej, widział bowiem tylko świat, leżący po za fontanną i pofrunął w ten świat, by powrócić jako starzec-samotnik... Nie wie on, kto stoi za nim i kto na jego głowę zamierza się kosą, podobnie jak nie wiedział, że to, czego przez całe życie szukał daremnie, niegdyś stało tuż obok niego i na niego czekało... A po nad tem wszystkiem sklepia się niebo, bezbrzeżne, ciepłe, błękitne, niebo letniego popołudnia i wielkiej ciszy letniej, niebo, pełne owych ciężkich jak wełna i białych jak wełna chmur, o których zdawaćby się mogło, że zatrzymały się w biegu i zawisły wśród ogólnego spokoju.

II.

Spokój ten stanowi jednolitość osobowości i utworów Böcklina, stanowi główną ich cechę, nadaje im pozytywną odrębność i odróżnia od wszystkich współczesnych malarzy. Był już w jednej z najwcześniejszych prac mistrza. Płótno owe przedstawiało młodzieńca i dziewczynę, Böcklina i jego narzeczoną w chwili, kiedy ująwszy się za dłonie, wspólną po jakiejś okolicy odbywają wycieczkę; a z biegiem lat, rys ten, podobnie jak szlachetne wino, nabierał woni i siły, tak że w jedno z ostatnich dzieł malarza-filozofa, w tę najpierwotniejszą alegoryę „Cztery pory życia", potrafił tchnąć duszę i poezyę.

Jeżeli jednym rzutem oka obejmiemy bogatą różnorodność obrazów Böcklina, jeżeli skupimy je w jedno ogólne wrażenie, otrzymamy obraz i uczucie spokoju, harmonii i wywczasu.

Jeżeli natomiast spojrzymy na szereg przedstawicieli naszej epoki, na indywidualność ich i dzieła, to wśród wielkiej różnorodności wrażeń otrzymamy jedno tylko ogólne wrażenie: wrażenie braku zaokrąglenia, skończoności. Zauważymy brak tego spokoju, który tak głębokim jest i jasnym, że zdawaćby się mogło, iż walczyć oń nie potrzeba; że jest spokojem instynktu, spokojem, który zawsze istniał i nigdy nie był zmąconym. Spokojem, który wyłania się z życia wtedy, gdy z wszystkiemi sprzecznościami swojemi skupiło się w jednej osobowości; spokojem wreszcie, który staje się własnością wyjątkowych ludzi, tych, co potrafili ujarzmić wszechświat i położyć go u nóg swoich niby dzikie, wzrokiem ułaskawione zwierzę.

Pierwszym w owym szeregu jest Nitzsche. Jest on człowiekiem — jedynym w swoim czasie człowiekiem — który w istocie najwewnętrzniejszego swego ja, wśród najokropniejszej walki i najboleśniejszej metamorfozy osobowościowej, przezwyciężył stary pogląd na świat i wywalczył sobie nowy. Radość jego z powodu tego czynu przelała się w lirykę o rytmach tak potężnych, że w ich falach tonie cała pozostała poezya współczesna, tonie tak niesłyszalnie, jak gdyby nigdy jej nie było. Lecz spokoju nie ma w jego radości, spokoju prawdziwego zwycięzcy nie ma w niej. Jest on wielkim bohaterem kultury, atoli walkę, w imię ludzkości podjętą, okupił złowrogiem dla osobowości zwycięztwem Pyrrhusowem i zapomnieć tego nie może. W wspaniałym jego hymnie zwycięzkim, dźwięczą jakieś fałszywe tony, na popękanym bowiem wygrywa je instrumencie. Jest to hymn pochwalny człowieka, powracającego do zdrowia, lecz drży w nim jeszcze echo jęków i skargi przesilenia. Pogląd na świat i indywidualność przebyły metamorfozę; stary pogląd na świat został potrzaskany i wyłonił się — nowy; lecz w indywidualności powstała rysa. Poezya Nietzschego jest jakoby potężną symfonią, wygraną ku chwale indywidualnego spokoju Zarathustry; jednakoż sama spokojem owym nie jest. Chce nim być, uważa bowiem spokój ten za ideał najwyższy — lecz nie jest nim; określa, ubóstwia go, tęskni za nim, lecz nie jest nim; obstaje przytem, że go posiada, wie, że tak nie jest, usiłuje jednak zapomnieć o tym braku i w innych wzbudzić dla niego zapomnienie. W ukrytej atoli świadomości tego braku, odzywa się żal, zaś niezdolność pochwycenia wyślizgującej się wciąż Dafne zwraca apostoła silnego, pełnego życia ku zgryźliwej apoteozie wrogich życiu i osobowości instynktom.

A jakież z dramatów Ibsena wynosimy wrażenie? Oczywiście, na wrażenie to składają się różne pierwiastki — odmienne w każdej sztuce; lecz zasadniczy rys nastroju pozostaje zawsze ten sam, ponieważ panuje tu zawsze jeden pierwiastek i o wrażeniu stanowi. Jest to wrażenie wewnętrznego niezadowolenia, niepokoju — uczucie, którego doznaje się wśród tych wielu małych przykrości codziennego życia, ilekrotnie widzi się zawikłanie bez wyjścia, konflikt — bez możności rozwiązania. Tylko, że uczucie to jest w danym razie bez porównania silniejsze, gdyż zawikłanie i konflikt znajdują się w dziedzinie najgłębszych i najwyższych zagadnień życia. Jest to uczucie ciężkości, tej ciężkości, jaka trapi indywidualność człowieka, ilekrotnie utworzy się w niej zgrubienie, które nie chce się rozejść, nie przechodzi w istotę, jako materya odżywcza i nie zlewa się z nią. Jest to rodzaj duchowej dyspepsyi, jeżeli wyrażenia tego użyć mi wolno. Przy opracowywaniu i kształtowaniu tematów swoich, sam Ibsen posiada pewien spokój, jednakoż nie jest to ten rodzaj spokoju, któryby bezpośrednio, jako cząstka nas samych w nas wnikał; jest to tylko spokój absolutnego sceptyka: najsubtelniejsza, najbardziej wyszlachetniona forma obojętności. Pogląd na świat Ibsena wyraża się w pytajniku, w sławnym Ibsenowskim pytajniku; postawienie tego znaku mogło mu być rozkoszą; stawiając go, odczuwał może wielki spokój duchowego aktu tworzenia, spokój chwili poczęcia, spokój objęcia całkowitego obrazu świata; dla nas jednak są to tylko znaki wewnętrznego braku spokoju. Każdy dramat Ibsenowski jest dziełem rozkładowem; całokształt zaś prac jego stanowi negacyę całkowitej syntezy ustroju.

Pod względem rozwoju osobowości i porządku dzieł i ideałów, Tołstoj, odkrywając w „Sonacie Kreuzerowskiej" serce swoje, sprawił, iż zdało nam się, jakobyśmy wśród samotnej, błędnej wędrówki po kraju, gdzie niegdyś rozsiadły się były roje mongołów, trafili nagle na jakąś z czaszek trupich wzniesioną piramidę Czingischana. Tam bowiem, gdzie miało być serce w temperamencie tym, który okazał się był ciepłym, jak ziemia rodzicielka i sił żywotnych pełnym, jak nieświadomie rozradzania się pragnąca roślina — tam była teraz tylko próżna, czarna, jak grób zimna, pustka: popęd niszczenia, popęd zabicia w sobie tego, co życiem jest, instynktowny wstręt dla własnych funkcyi organicznych.

Możnaby przytoczyć nieskończoną liczbę takich przykładów. Każda dla epoki naszej charakterystyczna indywidualność i każdy charakterystyczny umysł nowym mógłby być przykładem. Zatrzymam się tylko jeszcze na Strindbergu, ponieważ niezwykle wyraźnie uosabia on ten typ współczesny w jednej, specyalnej dziedzinie, w dziedzinie umysłowej. Olbrzymi, jak śpichrz przepełniony mózg Strindberga jest chaosem, w którym wszystko tłoczy, spycha się, popycha się naprzód, wywraca koziołki: jest to orgia myśli, pochód karnawałowy wszelkich idei współczesnych, walka tłumów myśli — bez wodza. Kolejno wszystko na mózg ten działa; wszystko jest dlań równie nowe i równie go silnie przejmuje; nic nie wiąże się tam z czemś już istniejącem: inteligencyą przerzuca się z jednej idei na ideę wprost przeciwną, nie szukając wiązadła. Nowa myśl, nowe spostrzeżenie, wyniesione z książki lub z życia, w mgnieniu oka przetwarzają się w mózgu tym w nową prawdę, a prawdę absolutną, jedyną, maniacką. Jedyną formą, w jakiej mózg ten, niemogący objąć więcej niż jeden szereg myśli lub jeden szereg faktów, zachowuje władzę i wywiera siłę, jest — monomania. Zgodnie z tem, typ rozwojowy u Strindberga jest zindywidualizowanym, ogólnym typem rozwojowym naszych przeciążonych, pozbawionych instynktowości i dla tego tak chaotycznych czasów. Cała twórczość literacka Strindberga, jest tylko obrazem walki, ciągłej walki na śmierć i na życie, między wrogiemi pierwiastkami — jest obrazem bezprzestannego wznoszenia się i opadu obu szalek. Strindberg kolejno z fanatyzmem głosił najróżniejsze poglądy na świat, by je następnie z równym fanatyzmem zbijać. Obecnie jest nadczłowiekiem, walczącym przeciwko Gminowi i Ewie, jest z własnej woli mścicielem wielkiego intelektu wobec muskułów robotniczych i chytrości kobiecej. I prawdopodobnie, w miarę tego jak z łona czasu wypłyną inne, nowe ideały, nowe ideały wyznawać i zwalczać będzie. Jest to naturalnym rysem młodości; jeżeli jednak stan taki trwa przez całe życie, natenczas zdradza wewnętrzną wadę organiczną, zdradza brak punktu ciężkości i brak ciepła żywotnego w jednostce. Ten zaś mózg, którego rozwój polega na nieskończonym szeregu neutralizujących się wzajem działań przeciwnych prądów elektrycznych, jest jakoby mikrokosmem teraźniejszości. Z niespokojnych mętnych fal jej sztuka Böcklina wypływa niby zaczarowana wyspa starożytności, ukazuje się nam, oblana potokiem słońca południowego, w blasku południowego błękitu, lśniąca białym marmurem wśród ciemnej zieleni. My zaś, ludzie współcześni, chętnie do wyspy tej przybijamy, albowiem instynkt szepcze nam, że tu, wśród marzeń i skupienia, własny nasz, najbardziej własny odnajdziemy spokój.

P. T.

(Dokończenie nastąpi.)

Niemiecka powieść Stanisława Przybyszewskiego.

(Stanisław Przybyszewski, Unterwegs. Berlin 1895.*)

Indywidualizm dzisiejszy nie ma nic wspólnego z potężną osobistością, jaka pojawiała się niekiedy w wiekach starożytnych i średnich, oprócz wspólności pochodzenia: źródłem jego — wybitna chęć władzy.

„W czasach, w których uczucia stadne ześrodkowały się w potężnem dążeniu do zjednoczenia, w których prawa jednostki ściśle są oznaczone, kiedy wszelki przejaw panowania uważać trzeba za pogwałcenie praw tych i ograniczać wedle możności, kiedy wszystko, cokolwiek przekracza miarę codzienną, zwykłą, tradycyonalną, zwalczane jest jako szkodliwe i niebezpieczne, trudno przewidywać rozwój instynktów despotycznych, sił żądnych czynu, myśleć o zużytkowaniu zdolności, przechodzących średnią miarę.

„Jednostka tego rodzaju nie znajduje w społeczeństwie miejsca dla siebie... staje się rodzajem Tschandala czy Paryasa; zaczyna się uważać za indywidualność.

„Indywidualności dzisiejszej nie odstępuje uczucie, że stoi po nad ludźmi, po za dążnościami rynku i tłumu, — najsilniejszem zaś jest wrażenie, że instynkty jej giną, źródło siły wysycha stopniowo; historya jednostki staje się smutną monografią zatamowania woli, obałamucenia instynktów, dziejami powolnie tworzącej się rozpadliny z której woda, nie znajdując ujścia zapada w głębie, rozbija masy kamienia, a skałę rozdrabnia na kawałki..."

W taki niezupełnie jasny i trochę napuszony sposób charakteryzuje Przybyszewski indywidualność dzisiejszą (Chopin und Nietzsche, Berlin, 1892), dodając przytem, że nie ma w niej

---

*) Stanisław Przybyszewski pochodzi z Kujaw Gimnazyum ukończył w Wągrówcu, studya uniwersyteckie odbył w Berlinie. Przyp. Red.

szczerości, że chce być czemś od reszty odrębnem. właściwości jej przeto nie są mimowolnym, potężnym prądem, który zrywa wszystkie tamy.

Kto wie, czy słusznej tej końcowej uwagi zastosować by nie można do samego autora. Nie wolno bez wątpienia wyprowadzać z prac autorów takich osobistych wniosków, skoro jednak pisarz stara się być przedewszystkiem subjektywistą, gdy był nim już w „Totenmesse“ oraz jest w powieści, której tytuł przytoczyliśmy, gdy w ulubieńcach swoich choćby byli tak odrębnemi osobistościami, jak Chopin i Nietzsche, upatrywać chce koniecznie podobieństwo tylko dla tego, że są jego ulubieńcami, czyż nie zapytamy, kim jest p. Przybyszewski, tem bardziej, że to nasz rodak, a choć pisze po niemiecku i to niemczyzną wytworną, na okładce podpisuje się Stanisław?

Przybyszewski jest artystą, nie chcemy twierdzić, że z bożej łaski genialnym; to niech pokaże przyszłość, ale ma duszę wrażliwą, która umie odczuwać piękno i niekiedy akordy pełne z siebie wydobyć. Podobno, że artyzm jego głównie przejawia się w muzyce, gra Chopina cudownie, upajająco, melodyą hypnotyzuje innych i siebie; o powieści jego powiedzieć tego niestety trudno; jako Falk, osoba główna, zahypnotyzował bohaterkę, która ulega jego woli, ale wątpimy, aby ktokolwiek z czytelników dał się oczarować. Autor jest produktem krzyżowania się bardzo różnorodnych wpływów kulturalnych. Polak jest pisarzem niemieckim, niegdyś redaktor pisma robotniczego, dziś zapalony indywidualista, wstępujący w ślady Strindberga i Nietzschego, wszelkie dążenia do wspólnej pracy i podniesienia masy na wyższy poziom zowie przejawem instynktów stadnych. Znać na nim również odbicie literatury skandynawskiej, może wskutek umysłowego pokrewieństwa, a może i przez osobiste stosunki potrochę, żona jego jest pochodzenia norwegskiego.

Jeżeli zwracamy się dziś do jego ostatniego utworu, choć może jest najsłabszym z dotychczasowych, to nietylko dla tego, że jest nowością, ale i dla dania przykładu, jak wyglądają w praktyce teorye indywidualistyczne.

Zaiste niewesoło, a raczej bardzo ucieśnie, gdyż to, co u ludzi zwyczajnych nazwać by można i trzeba zwykłą obłudą i łotrostwem, indywidualista, uważający siebie za nadczłowieka, tłomaczy bogactwem i oryginalnością swej natury.

Bohater powieści, Falk, jest publicystą i powieściopisarzem, naturą fantastyczną o silnych instynktach, umyśle lotnym, ale jednocześnie i wysoko praktycznym. W rodzinnem swem miasteczku pokochał młodą dziewczynę, Marit Kaner, która podziela jego uczucia z całym zapałem osiemnastoletniego serca i czeka rok cały na powrót wybranego z Francyi. Tymczasem w miasteczku zaczynają krążyć głuche wieści, że Falk miał romans z dziewczyną, która mu dała dziecko, to znów, że się ożenił, on zaś nie daje znaku życia. Wreszcie powraca do matki, stale w miasteczku mieszkającej, przesiąknięty wpływami stolicy francuzkiej, jak powiada, a właściwie przepojony frazesami i pojęciami o nadczłowieku, jego prawach wyjątkowych, uwielbieniem dla własnej indywidualności, zdenerwowany, podtrzymując się alkoholem i aż trzema naraz serdecznemi stosunkami. Dziecko ma istotnie, i jak powiada, kocha je bardzo, ale matka gdzieś znikła; poczem ciężko chorował. zjawiła się u jego łoża jakaś pokrewna mu dusza niewieścia, arystokratyczna z urody i pochodzenia, a radykalna w poglądach na życie, p. Perier. Jest ona dobrą i tak rozumną, że pojęła nawet jego nadczłowieka. Ożenił się z nią przeto, ale związek ten utrzymywał w tajemnicy. Pamięta bowiem piękną i młodocianą Marrit, która większe na nim czyniła wrażenie, niż którakolwiek kobieta w życiu. Spotykają się: dziewczyna z drżącem na ustach zapytaniem, on, zakłopotany zrazu wyznaje, że choć ją kocha, wszystko między nimi skończyć się musi, prosi ją o przyjaźń. Z czasem jednak buntuje się przeciw tym pętom, narzuconym sobie przez jakieś pojęcie uczciwości czy honoru, opowiada dziewczynie, że wszystko, co jej powiedział, było żartem, że ją jedynie kocha i przy niej pozostanie i korzystając z dziwnie namiętnego charakteru dziewczyny i nieobecności jej rodziców, spędza z nią noc miłosną.

Teraz przecież następuje okres szczerości: zwierza się naprzód matce, że jest żonaty i zjednywa ją dla siebie, jednocześnie czuje, że żonę swą namiętnie kocha i pisze jej o tem, do Marrit zaś podąża rankiem dnia następnego po owej szalonej nocy: czuje, że powrócić musi, aby jej coś powiedzieć. To coś — to brutalne wyznanie, że ma żonę i że ją kocha. Prawda, że Falk jest w gorączce, ale wyznanie to dyktuje mu jego natura silna i bezwzględna, która nie rozumuje i nie zastanawia się, jakie wrażenie może zrobić to wyznanie. Jakoż silny tryumfuje, gorączka mija, a ostatnia scena przedstawia nam żonę Falka, siedzącą u łoża chorego. Marrit zaś, ocucona nagłem wyznaniem, rzuca się do wody i tonie.

Falk jednak nietylko w miłości umie godzić idealne porywy, choćby zupełnie rozbieżne miały dążności, ale i w polityce. W rozmowie, którą zadziwia polityków małomiasteczkowych, ujawnia się jako demokrata i zwolennik monarchii, pod której opieką jedynie powstać mogą dzieła sztuki, rozumie i usprawiedliwia teorye i czyny anarchistów, ale jest zwolennikiem wymierzania im kary śmierci, gdyż poczuwa się do wspólności ze społeczeństwem, przeciw któremu występują. Sądzę, że w nadczłowieku takie przystosowanie do warunków istniejących wzbudzić musi co najmniej zdziwienie i pożądanie jak największej liczby nadludzi, skoro z tem tak wygodnie być może.

Przecież, żart na bok, powieść „Po drodze“ jest płytką. Podobne stosowanie teoryi filozoficznych jest czemś w rodzaju modlitwy do patrona przed popełnianiem kradzieży, a wykrzywienie teoryi Nitzschego, którego p. P. trafnie przecież ocenia w poświęconej mu monografii raz jeszcze ilustruje, jaka przepaść jest między teoryą a pojedyńczemi przykładami, w które ona się wciela.

Istnieją filozofie niebezpieczne, dziwnie podatne do przebijania ich na drobną monetę teoryek i sympatyi; do takich należy Nietzsche raczej artysta, niż myśliciel, mistrz formy, arfa dźwięcząca tysiącznymi tonami, z których każdy w dziełach jego znalazł obraz odpowiedni. Mało kto oceni tę jego wielką estetyczną wartość, znajduje się zaś wielu Falków, którzy w teoryach jego odnajdą wygodne usprawiedliwienie swych czynów.

Żałujemy, że polski autor w tak ujemny sposób odzwierciedlił nowe prądy indywidualistyczne, gdyż bohater posiada zupełne jego uznanie. Jak się odzwierciedla Nietzsche w powieści drugiego autora, Wilbrandta, opowiemy czytelnikom wkrótce.

S. Z. D.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W sprawie procesu Aleksyanów.

Sensacyjny proces klasztoru Aleksyanów w Mariabergu wywołał nietylko w Niemczech, lecz w całej cywilizowanej Europie potężne wrażenie, a wyrok przyjęto wszędzie nieomal z głębokiem zadowoleniem. Nawet prasa klerykalna, która niejednokrotnie już złożyła dowody, że tam, gdzie opinji klasztornych instytucyi grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, umie grzech lub lekkomyślność blaskami cnoty i obowiązku osłonić, nie odważyła się występnych braciszków otoczyć skrzydłami opieki swojej i starała się jedynie udowodnić, że nadużycia w domach obłąkanych dzieją się wszędzie, — nietylko w klasztornych, lecz i w państwowych zakładach. Z drugiej strony skorzystała prasa liberalna z wygodnej sposobności, aby urządzić hecę przeciw klasztorom i zakonom wogóle, podnosząc z naciskiem, że braciszkowie pełniący służbę w imię Chrystusowej miłości, z różańcem u pasa, odegrali rolę dzikich zwierząt wobec biednych obłąkańców. Nie myślę bynajmniej zaprzeczyć, że Aleksyanie zasłużyli sobie zupełnie na pogardę głęboką i potępienie, któremi ich darzy całe myślące społeczeństwo, — zdaje mi się jednak, że znaczenie procesu nie polega na zdemaskowaniu fałszywej świętości, lecz przedewszystkiem na odkryciu ujemnych stron dotychczasowych przepisów i praktyk, stosowanych w Niemczech przy internowaniu oraz kontroli obłąkanych w zakładach prywatnych, i w dalszej konsekwencyi na zwróceniu powszechnej uwagi ku istniejącym ustawom o umałoletnianiu, nasuwającym poważne wątpliwości.

Wypowiedział niegdyś prof. Mendel zdanie („Nation“. r. 1893), że „byłoby w najwyższym stopniu pożałowania godnem, gdyby władze pruskie zdecydowały się zaprowadzić obostrzenia w sprawie przyjmowania chorych do prywatnych zakładów dla obłąkanych“, a innym razem oświadczył publicznie, że należy postarać się o to, aby lekarze zakładowi znaleźli skuteczniejszą obronę prawną przeciw zaczepkom publiczności. Opinje takie znalazły swojego czasu w prasie należytą odprawę, a w rzędzie przeciwników Mendla nie stanęli wyłącznie lajcy, obdarzeni tylko zdrowym rozsądkiem, których patentowana nauka lubi lekceważyć, lecz poważni badacze chorób umysłowych i rutynowani rzeczoznawcy, że wspomnę tylko Forela i dr. Alberta Molla. Walka obrońców dotychczasowego systemu z zwolennikami reformy rozgrywała się z małemi przerwami z rosnącą zaciętością w łamach popularnych i poważnych czasopism, a proces Aleksyanów stał się nowym etapem wojny, — dotkliwą klęską prof. Mendla i przyjaciół jego.

Wykazało się bowiem w czasie akwizgrańskich rewelacyi, że obecne przepisy dotyczące internowania obłąkanych w prywatnych zakładach nie stanowią żadnej obrony przeciw nadużyciom, — wykazało się, że posłuszeństwo dla regulaminu istniało tylko w teoryi, że opinje lekarskie wydawano z niesłychaną lekkomyślnością, że dla braku należytej kontroli rzucano pacyentów na pastwę rozpasanej służby, że umieszczanie niewygodnych osób w instytucyach dla ludzi umysłowo chorych jest wobec istniejących przepisów rzeczą nader łatwą, a łatwiejszą jeszcze przetrzymywanie więźniów przez długie lata w zakładach. Stwierdzono w Akwizgranie, że urzędowy lekarz, fizyk i tajny radzca sanitarny dr. Kröbben badał głośnego pana Forbesa w r. 1893 przez minut 15 i poświadczył konieczność internowania, a w następnych trzech latach żaden lekarz nie przystąpił już do kontroli umysłowego stanu rzekomego pacyenta.

Wobec panujących zwyczajów i swobód wrota do zbrodni stoją tu otworem. Przy pomocy jednego lekarza można z łatwością pozbyć się bez ambarasu niemiłych osobistości, jeżeli lekarz ten jest łotrem, człowiekiem lekkomyślnym lub maniakiem, upatrującym śladem niektórych znanych psychiatrów umysłowe zboczenia w każdym człowieku. Wszelkie przepisy policyjne, obowiązujące obecnie zakłady prywatne, są czczą formalistyką, a proces Aleksyanów udowodnił znowu, że komunikaty, udzielane przez zarząd szpitalny prokuratoryi, nie chronią bynajmniej przed bezprawnem pozbawieniem wolności. Zresztą opinia lekarza posiada przed sądem zawsze niemal decydujące i wyłączne znaczenie, i tam nawet, gdzie sprzeciwia się zeznaniom świadków, zakłada nieraz podsądnym kaftan obłąkanych lub pozbawia ich praw obywatelskich normalnego człowieka w elastycznej i subjektywizmowi sędziów szerokie pole otwierającej procedurze „umałoletniania“. Zdarzyło się przed rokiem w państwie pruskiem, że niejakiego p. Feldmanna umałoletniono na wniosek żony, która w krótkim czasie po ogłoszeniu wyroku roztrwoniła 700,000 marek mężowskiej fortuny. Sam przebieg procesu świadczy wymownie o problematyczności fachowych opinii. Feld-

mann bowiem powątpiewał o wierności swej żony, a pewien znany psychiatra orzekł na tej podstawie, że „nieuczciwość żony“ jest u p. F. chorobliwą „idée fixe“ i powoduje „manję podejrzeń“, lubo kilku zupełnie wiarogodnych świadków pod przysięgą zeznało, że pani F. stała istotnie w bardzo czułych stosunkach z przyjacielem domu. Inny zaś lekarz legalizował na czas nieograniczony internowanie Feldmanna w domu obłąkanych na mocy piętnastominutowej rozmowy z człowiekiem, rozdrażnionym w najwyższym stopniu nieszczęściem swojem, występkiem pięknej małżonki i wynikiem procesu.

Podobnych wypadków namnożyło się w ostatnich latach niemało i coraz częściej odzywały się w zaniepokojonej opinii publicznej twierdzenia, że w publicznych, a przedewszystkiem w prywatnych zakładach trzymają i w najbrutalniejszy sposób męczą ludzi zdrowych. Wszystkie te wołania jednak żadnego nie odniosły skutku, a ilekroć znalazł się człowiek odważny, rzucający słowo krytyki, zawsze nieomal zjawiał się na horyzoncie prokurator z paragrafem o obrazie w ręku i biedny śmiałek wędrował na ławę oskarżonych. Wynik procesu dla oskarżonego bywał zwykle smutny. Jeżeli mu się nie udało wszystkich inkryminacyi w najmniejszych drobiazgach udowodnić, jeżeli w oburzeniu swojem nie liczył się skrupulatnie z każdym wyrazem i rzucił słówkiem ostrzejszem, wtedy zasądzano go zwykle za obrazę, a ci, przeciw którym walczył krytyką swoją, korzystali z wyroku jako tarczy obronnej, lubo treść zarzutów w znacznej części okazała się prawdziwą. Szeroka publiczność dowiadywała się tylko, że oskarżyciel zakładu obłąkanych sprawę przegrał, a władze inkryminowanych instytucyi prezentowały się jako ofiary oszczerstwa.

I bohaterowi akwizgrańskiego procesu, panu Mellage, los podobny zagrażał: Prokurator wprawdzie nie wątpił, że kompromitującego postępowania dowodowego uniknąć nie może, sądził jednak, że mimo to po stronie obżałowanego znajdzie się zawsze jakieś drobne przewinienie, podlegające karnej ustawie. Oskarżyciel państwowy nie zastanawiał się, dokąd podobna praktyka sądowa zaprowadzić musi, lecz zliczywszy dokładnie wszystkie nadużycia wykryte w śledztwie i odliczywszy je od sumy twierdzeń obciążających, zawartych w broszurze p. Mellage, doszedł do przekonania, że na mocy takiej substrakcyi wyrachować można pewne drobne saldo na niekorzyść obżałowanego; tu i owdzie bowiem jakiś zarzut nie był w pełni udowodniony, tu i owdzie użyto za ostrego wyrazu i oto proces był gotów.

Prawodawstwo jednak nie powinno być rachunkową operacyą, nie powinno się rządzić tak mechaniczną formalistyką tam, gdzie rozstrzygają się kwestye o najwyższem znaczeniu idealnem dla jednostek i dla ogółu; sprawiedliwość paragrafowa a słuszność to nie identyczne pojęcia, — prawda ta jednak dziś jeszcze na ziemię nie zstąpiła i dla tego najszlachetniejsze czyny zyskują niekiedy miano występku a największe nadużycia kryją się za płotem paragrafów. Toż zręcznie ukrytą zgniliznę trudno zbadać dokładnie i bezbłędnie w najdrobniejszych szczegółach, i trudno nadużycia w skuteczny sposób piętnować bez narażenia się w formie na obrazę tych, z którymi się walczy. Ludzie obdarzeni prostym rozsądkiem i zdrowem poczuciem sprawiedliwości uwolniliby bez wątpienia obżałowanych tam, gdzie znaczna część ich zarzutów, stanowiących kamień obrazy, okazuje się prawdziwą, ale prokuratorzy i sędziowie wychowani w fałszywym systemie i nastrojeni na suchy ton paragrafów lękają się nieraz podszeptów zdrowego rozsądku i instynktu sprawiedliwości. Fiat iustitia, pereat mundus, — oto ich dewiza.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zasiadali w akwizgrańskiem procesie sędziowie, którzy zdobyli się na odwagę pominięcia litery paragrafów, gdy prosty rozsądek i uczucie wyższej sprawiedliwości przemówiły na korzyść pana Mellage. Nabrano przekonania, że obżałowany położył uznania godną zasługę koło społeczeństwa, zdzierając maskę z tajemnic klasztornych, — nabrano przekonania, że przeważna większość zarzutów jego nie była produktem fantazyi, — i w takiem mniemaniu odrzucono wniosek prokuratora o ukaranie autora głośnej broszury, lubo wniosek ten ze stanowiska ścisłej formalistyki i logiki paragrafów był niewątpliwie uzasadniony.

Jakie będą konsekwencye procesu Aleksyanów, przesądzać nie śmiem. O ile jednak z wtorkowych wynurzeń ministra oświecenia w sejmie pruskim wnioskować można, to znajdujemy się w przededniu pożądanych reform. Dr. Bosse bowiem zapewnił, że opracowano już nowe przepisy w sprawie przyjmowania obłąkanych, urządzenia zakładów i wpływu lekarza na chorych i personał zakładowy, a nadto oświadczył, że niebawem zarządzi ścisłą rewizyę wszystkich prywatnych instytucyi dla chorych umysłowo.

Słowa ministra podziałają niewątpliwie uspakajająco na opinię publiczną, która coraz głośniej i coraz groźniej szemrać zaczynała. Tak! żądamy reformy, — żądamy przedewszystkiem, aby między domem obłąkanych a podejrzanym pacyentem zbudowano rozszerzony system badania, aby prawodawstwo, dotyczące umałoletnienia uległo reformie, ograniczającej o ile możności subjektywizm sędziów i wszechpotężne wpływy urzędowych psychiatrów, u których nieraz manią się stała pogoń za zboczeniami umysłu, — żądamy wreszcie, aby zakłady dla obłąkanych podlegały najczęstszej rewizyi i najściślejszej kontroli. Nadużycia bowiem mają naturę grzyba, który najprędzej wyrasta w takich budynkach, gdzie dla słońca i powietrza mało jest przystępu.

-ski.

Ze Szląska Polskiego.

(Zakaz używania języka polskiego a ministeryum oświecenia. — Nowoczesny pręgierz dla polskich dzieci. — Śpiący rycerze szląscy. — Potrzeba więcej zdecydowanego wystąpienia. — „Katolik“.)

Gdyby nie słowa naszego posła p. majora Szmuli, wypowiedziane temi dniami w parlamencie w obronie petycyi ks. Szymańskiego z Dąbrówki o udzielanie dzieciom tamtejszym polskiej nauki, trudnoby uwierzyć, że minister oświaty nie pochwala systemu szerzenia niemczyzny przez pruskich nauczycieli, którzy zakazują dzieciom szkolnym poza szkołą mówić pomiędzy sobą po polsku i za niezastósowanie się do tego nakazu karzą je cieleśnie. Tem więcej jednak zadziwiać musi do jakiego stopnia dochodzi znęcanie się zacietrzewionych germanizatorów śląskich nad polską dziatwą za używanie mowy rodzinnej.

Temi dniami opowiadała kobiecina z powiatu opolskiego, że w wiosce jej zamieszkania, Czarnowąsach, nauczyciel wpadł na osobliwszego rodzaju pomysł karania nieusłuchanych dzieci polskich. Otóż tedy sprawił z własnych funduszy, czy z regencyi otrzymał czarną drewnianą tablicę tak wielką, że ją dziecko szkólne z trudem może udźwignąć Na tablicy tej dużemi głoskami widnieje napis:

„Ich habe polnisch gesprochen“. Dziecko, o którem się sławetny pedagog z Czarnowąs dowie, że mówiło po polsku, musi za karę tablicę tę przez wieś całą z szkoły do domu i w dniu następnym napowrót z domu do szkoły nieść na plecach, ku ogólnemu pośmiewisku swych współżaków.

Nic nowego pod słońcem, więc i ten niby nowy, a w istocie z średnich wieków odgrzany sposób publicznego ośmieszenia i zniesławienia kogoś, dawniej pręgierzem zwany, nie zadziwi może świata przyzwyczajonego do różnych dokumentów pruskiej cywilizacyi, lecz spotęguje wstręt nasz do pruskiej pedagogii i narzędzi systemu deptania wszystkiego co uczciwe a wzniosłe.

Coraz tu smutniej i coraz dotkliwiej pali nas system niemiecki, a przecież — e pur si muove. Rycerze śląscy, jak o nich podanie niesie, śpią dotąd wiekowym snem ujęci w klasztorze Trzebnickim. Wiara ludu twierdzi, że oni wstaną kiedyś, nam na pomoc a na zagładę dzisiejszych faraonów. I trudno nie wierzyć porówno z ludem, patrząc na to, jak z dnia na dzień prawie w oczach naszych powstają do walki nowi ludzie, nowi rycerze św. Jadwigi. To, czego nam czynić nie wolno, wypełnia sumiennie spółka H. K. T. — budząc bezgraniczną czelnością i krzykami naszych śpiących „Maćków“.

Jeżeli „Katolik“ wobec bezwstydnych rozpraw i uchwał wrocławskiego zebrania Hakatystów aż nawet rozstawnemi głoskami drukuje: „będziemy się bronili“, to i za tę nieokreśloną „nadzieję jutra“ wdzięczni mu jesteśmy, lecz my już wczoraj i dziś jesteśmy bici i oplwani i dziś już potrzebujemy obrony, nie tej, która tylko kornie błagać umie sprawiedliwości i upamiętania się, lecz tej, która harde stawia czoło przeciwnikom i bez trwogi niesie światło narodowe i gromką pobudkę po kraju. Wiadomość „o banku ludowym w Bytomiu“, pierwszej polskiej instytucyi tego rodzaju na Szląsku, powtórzyły za „Gazetą Opolską“ wszystkie prawie pisma polskie i niemieckie. Jedyny „Katolik“ bytomski tylko nie wie, co się w Bytomiu dzieje. Nie jest to, broń Boże, zła wola, lecz osobliwsza taktyka, na którą wszakże nam trudno się godzić. Strach czy ostrożność do tych granic posunięta przestaje być przezornością, a raczej ośmiesza tylko ludzi i sprawy. Najdzielniejsi robotnicy w obwodzie przemysłowym przeszli do obozu socyalistycznego, ponieważ ich cuda św. sukienki w Trewirze jakoś mniej obchodzą, niż nasza niedola i rozpasanie wrogów. „Katolik“ o tem wiedzieć powinien, bo to się dzieje tuż obok niego, a jeżeli tak dłużej potrwa, to jeszcze niejeden z „Gazety Robotniczej“ się prędzej dowie o pierwszym banku polskim na Szląsku, niż z bytomskiego „Katolika“.

Chm.

KRONIKA BERLINSKA.

Berlin, d. 26 czerwca.

(Polityczne święto pokoju. — Tołstoj w literaturze niemieckiej. — Niedyskrecya pani Sewron. — Proces w Akwizgranie.

Kanał cesarza Wilhelma zdradza już pewne niedokładności w wykonaniu. Na poświęcenie jego wydano sumy, pokazano przytem cały przepych dworski i cały zbytek, na jaki stać było miasto Hamburg. Teraz oblicza się koszta, co w połączeniu z wyżej wspomnianemi brakami oraz niedwuznacznem zamanifestowaniem francuzko-rosyjskiej przyjaźni obniża nieco niemieckie poczucie dumy. Niemcy zawsze uchodzące za państwo militarne raz przecież urządziły międzynarodowe święto pokoju. Odbyło się ono wprawdzie przy dźwięku wojskowych kapeli i w obec nieustającej parady różnego rodzaju mundurów wojskowych, zawsze jednak Niemcy mają poczucie, że spełnili czyn kulturny w wysokim stylu.

To też nastrój przez owe dni świąteczne nawet w Berlinie był bardzo uroczysty, ci co zostawali, zazdrościli tym, co mogli jechać i głowy podnosiły się coraz wyżej. Teraz przecież poczyna sie obliczanie, czy po za strategicznemi korzyściami, które w razie wojny kanał niewątpliwie przyniesie, będą jeszcze inne dla handlu i przemysłu. Bo oto powstaje obawa, że zarząd kanału tak wielkie opłaty za przejazd naznaczy, iż dla okrętów kupieckich i pasażerskich będzie jedynie dawna droga dostępną. W przeciwnym razie, a więc, gdyby okręty obrać mogły drogę najkrótszą, przechodziłoby rocznie przez kanał koło 13 mil. ton, co w każdym razie jest bardzo imponującą cyfrą. Przecież to tylko nadzieja — pewnemi są jedynie korzyści wojskowe — a więc święto pokoju dla wojny, a zaproszone sąsiednie mocarstwa miały w pierwszym rzędzie przekonać się o ile germański sąsiad stał się *wehrfähiger*.

Wśród wstecznej fali, która oblicze dzisiejszego świata zwracać się zdaje ku chrześcijańskiemu Bogu i chrześcijańskiej moralności, zastrzegając się przecież zawsze, że istniejące kościoły zadowolnić jej nie mogą, coraz częściej ukazuje się w literaturze niemieckiej oblicze Tołstoja. Jest on dziś przynajmniej tak

popularną w Niemczech osobistością jak Ibsen, porównywując autorów piszących nie po niemiecku — a znanym być musi każdemu choć trochę po literacku wykształconemu czytelnikowi, czy czytelniczce. Przed kilku tygodniami ukazało się pismo, które jak się zdaje nie będzie wychodzić peryodycznie: „*Neues Leben*“, poświęcono kultowi męża z Jasnej Polany. Wydawca Karol Grurski (niewiadomo, czy Polak, choć nazwisko brzmi po polsku) ma dość zresztą nieokreślone dążenie, aby „światu dać coś nowego, czegoś go nauczyć, nietylko słowem, ale i czynem.“ Potrzeba mu więc żywego przykładu, któryby protestował przeciw kłamstwu, zepsuciu, gburowatości, samowoli.... i za takiego uznał Tołstoja. Fetysz przecież, bo w takiej roli pojmuje p. Grunski Tołstoja, w liście pisanym do redaktora wypowiedział się od razu, jako wróg publicystyki.

„Prasa już ukończyła swoją rolę, czyny są potrzebne i to nie tyle pozytywne, ile nie czynienie tego, czemu sami zaprzeczamy, unikanie wszelkiego kłamstwa w życiu.“ Zaleca on zbliżenie się do ludu, pobożność chrześciańską, a za wyznanie wiary podaje rodzaj panteizmu, który uważa życie nie za „chwilę przemijającą, lecz za ruch wieczny, którego doczesnym przejawem jest życiowa fala.“ Życie nasze powinno być ciągłym wzrostem miłości, która nigdy się nie kończy, ale tylko przez śmierć na chwilę przerwaną zostaje. — Artykuły o Tołstoju komentują jego naukę, obracając się wciąż koło postulatów prawdy w życiu i czynach, miłości, przebaczenia i pokoju.

Filozofia Tołstoja, o ile przystąpić do niej z trzeźwością i pewnym filozoficznym krytycyzmem, nie jest ani głęboką, ani nową, pomimo to właśnie w naszej przecywilizowanej epoce robić może wrażenie potężne, przecież pod warunkiem że uwierzymy w autora szczerość, zachowując przekonanie, że słowo popiera czynem. Tymczasem ukazuje się dziełko, które rozwiewa nieco tę fatamorganę sprawiedliwego i surowego mędrca, w którą Europa Zachodnia. a jak się zdaje i Rosya wierzyła dotąd niewzruszenie. Anna Sewron. która wiele lat przeżyła w domu Tołstoja, która należy do gorących jego zwolenników i wielbicieli, która powiada: „przyjdzie czas, gdy rzekną: tak ten był synem człowieczym nędzny i złamany, ale przecież pełen siły *boskiej*,“ rozwiewa przecież złudzenia*). Dziełko opowiada różne szczegóły o zajęciach i upodobaniach idylicznych Tołstoja, o czynnej pomocy, jaką niósł ludowi w głodowym roku, o niesłychanym uroku jaki jego brzydka, a nawet pospolita postać o kacapskim typie olbrzymią swoją siłą i prostotą wywiera na tłumy pielgrzymujące do Jasnej Polany. Autorka przecież ukryć nie może, że Tołstoj jest nie lubiony przez swych chłopskich sąsiadów. Jakkolwiek bowiem orze i grabi wraz z nimi, nie potrafi się często pozbyć wyniosłości szorstkiej i pańskiej dawnego posiadacza dusz chłopskich. Przy tem Tołstoj jest skąpy, nic nikomu nie da, a rad jest, skoro uda mu się drobnej nawet kwoty nie dopłacić.

Zdaje się, że hrabiowska rodzina grzeszy również chciwością Gdy żonie wielkiego powieściopisarza zachciało się kiedyś zbierać kapitały z pism jego, urządziła prawdziwą licytacyą na coraz to nowe wydania, które rozchodziły się wprost z majątku. Takie kupczenie jego umysłowemi bogactwy nie mogło być przyjemnem autorowi „Pokoju i wojny,“ a przy tem przeciwnem było całej jego moralności, jednakże zamykał na nie uszy i oczy, wynosił się z domu, a na usprawiedliwienie twierdził, że kapłan nie może wykonywać wszystkich pięknych maksym, które głosi z kazalnicy. Podobnie rzecz się ma z jego wegetaryanizmem; tylko rok jeden był Tołstoj jaroszem, a i wtedy w nocy brzęczały kieliszki i rostbeef znikał z półmiska, nie inaczej ma być i ze stosunkiem do kobiet powiada autorka, wyznając, że i ona kochała się w Tołstoju pomimo jego brzydoty.

Te i wiele innych ploteczek p. Sewron są tylko dowodem, że nie ma słońca bez plamy i że lepiej plam tych nie szukać dla nas samych, dla naszego idealizmu, którego odrobinka tak w każdem życiu potrzebna.

*) Anna Sewron. — Graf Leo Tolstoj. Intimes aus seinem Leben. Berlin. — 1895 r.

Nie mniejszy cios owemu idealizmowi zadał rezultat procesu Mellage w Akwizgranie przeciwko mnichom klasztoru Mariaberg, który niewątpliwie znanym jest czytelnikom naszym z gazet codziennych. Wobec brutalnego i przykrego faktu znęcania się braciszków zakonnych nad chorymi i bezbronnymi, powstają dwa zagadnienia, które cała niemiecka prasa porusza, a mianowicie, jak wytłomaczyć psychologicznie, że właśnie pod hasłem chrześcianizmu, który zawsze stawał dotąd po stronie nieszczęśliwych, działy się takie nadużycia, będące policzkiem dla dzisiejszej naszej kultury, oraz jak zorganizować zakłady dla obłąkanych, aby uchronić ich od znęcania się dozórców i zwierzchności zakładu.

Przyczyna nadużyć tkwi, zdaje się, głębiej, niż w brutalności mnichów i ich zepsuciu, jest ona raczej wynikiem owych scholastyczno-średniowiecznych pojęć, które obłęd uważały za sprawę złego ducha i starały się go wypędzić, a cierpienie za dopust Boży, przeciw któremu walczyć nie należy, bo i tak sprawiedliwość na tamtym dopiero wykonaną będzie świecie. Takie były poglądy owych zakonów świeckich Begardów i Reginek, które od XIII w. obejmowały coraz więcej obowiązków i w zakostnieniu swych pojęć aż dotąd przechowały dawne poglądy. Faktem jest, że oświeceni dyrektorowie zakładów dla obłąkanych, lekarze przychodzą do wniosku, iż dozorczyniami nie powinny być katolickie, ani protestanckie siostry miłosierdzia, ale raczej dziewczęta świeckie, posiadające średnie wykształcenie. Jeżeli wbrew teoryom o władzy złego ducha Kościół okazywał się tylokrotnie opiekunem chorych i obłąkanych. to tylko dowód, że dobre serce ludzkie silniej od przesądów przemawia.

Wobec tego, że Niemcy, gdzie państwo tyle już dziedzin życia kulturnego zagarnęło pod swoją władzę, nie posiadają dotąd zorganizowanej rządowej inspekcyi nad zakładami dla obłąkanych, urządzono ankietę, co robić na przyszłość? P. H. R. Fischer z Moguncyi zwrócił się do najwybitniejszych w Europie środkowej psychiatrów jak Forel z Zurychu, dr. Benedict z Wiednia, Bleuler z Rheinau, zapytując, jak zorganizować zakłady. Wszyscy jednogłośnie niemal oświadczyli się za państwowym nadzorem, za koniecznością, aby tylko lekarzom wolno było otwierać zakłady dla obłąkanych, aby na czele zakładu oprócz naczelnego lekarza, stała jeszcze rada lekarska. Zdanie to potwierdził sędziwy prawnik Rudolf Gneist, a wobec 45 tysięcy chorych, jacy w zakładach podobnych się znajdują, sprawa to pierwszorzędnej wagi.

S. Z. D.

NA WYŁOMIE.

(Powódź na wystawie. — Kto winien? — Wybryk dziennikarski. — Próba bojkotu. — Jubileusz księdza kardynała Ledóchowskiego).

Gdy w poniedziałek otwarły się śluzy niebieskie i zwilżyły umierającą z pragnienia ziemię, widziałem rolników spoglądających w rozpłakane niebo okiem tak promieniejącem, że chyba chłopiec młody, biorący pierwszy pocałunek z ust swojej kochanki, tak patrzy i tak się uśmiecha. A potem w winiarniach słyszałem huk korków szampańskich i kości moje trzeszczały w objęciach upojonych radością ziemian, którzy przebaczyli mi nawet artykuł o „Banku Ziemskim“ i apoteozę idei demokratycznej i gorzką krytykę Wielkopolanek. Bądź błogosławiony, o! Jupiter Pluvius!

Błogosławiony? Z placu wystawy leci krzyk piekielny. W hali przemysłowej zamęt nieopisany, polskie i niemieckie klątwy walczą z sobą o lepsze, a skarg i lamentów rozbrzmiewa tam tyle, że cały budynek jest jak elegia zaklęta w kształty architektoniczne. Na razie nic nie rozumiem, — lecz nagle czuję, że strumienie wody cieką mi za kołnierz, w butach robi się wilgotno i jakieś chlupotanie rozlega się złowrogo. Cóż to? Czy dach zarwany? czy jakieś źródło ukryte z pod ziemi wytrysło? Bynajmniej, — ale dowcipni Niemcy zamiast dachu i ścian zbudowali rzeszoto i na wzór zeszłorocznego widowiska „Cyrk pod wodą“, uraczyli nas wspanialszą jeszcze pièce de résistance: „Wystawa pod wodą“. Zachwycający widok! Opodal jeden z przemysłowców ustawił pupę woskową z długiemi wąsami, ubraną w myśliwski garnitur, a malowany ten Nemrod zapłakał nagle różowemi łzami, wąsy obwisły chudzinie i wyglądał cały jak zmoczony indyk. Dalej znów wdzięczyły się do mnie pływające kanapy, zatopiona bielizna, mokre gobeliny, musujące mydełka i woda, woda bez końca.A biedne ofiary powodzi wśród zgrzytów i sarkań ratowały swój dobytek z nieproszonej kąpieli. Zasłaniano bilardy, budowano prowizoryczne parasole, szalami i surdutami ratowano stoły z kwiatami, bielizną i błyszczącemi wyrobami z stali. Ale w potopie zaginęło wiele i z mokrej wystawy wybiega pytanie: Kto zwróci szkody? Kto winien wilgotnej niespodziance?

Może p. Grüder, udekorowany orderem za urządzenie wystawy, raczy nam udzielić rycerskiej odpowiedzi, jak na rycerza czarnego czy czerwonego orła przystało. Wprawdzie statuty opiewają, że za szkody powstałe na placu wystawy Komitet żadnej nie przyjmuje odpowiedzialności, ale sami kupcy i przemysłowcy nie mogli przecież kontrolować spoistości dachu i ścian i zaufali niemieckiej pedanteryi i miejskim powagom. Przypadkowe stłuczenie, złamanie, zbrudzenie przedmiotów, — za to istotnie Komitet odpowiadać nie może, ale któż mógł przypuszczać, że deszcz kilkugodzinny halę przemysłową w sadzawkę zamieni. Powiedziano wystawcom, że nad ich głowami jest dach nie rzeszoto, a tem samem popełniono mistyfikacyę, na której autorach ciąży może nie prawny, ale bądź co bądź moralny obowiązek odszkodowania pokrzywdzonych.

Kąpiel wystawowa zawiera jednak inną jeszcze naukę, ujawniając znowu niebezpieczeństwo submisyjnej metody, praktykowanej coraz częściej w zakresie budownictwa i dostaw różnorodnych. Zduszona do ostateczności cena powołuje do życia królestwo tandety, — zwycięzca submisyjny kurczy o tyle materyał i pracę, o ile submisya cenę mu skurczyła. Byle taniej! z tem hasłem wstępuje się na rusztowanie i buduje zamiast ścian i dachów przetaki. A kontrola? Uśmiecha się ironicznie sprytny spekulant...

Rozglądając się po dziennikach poznańskich gotów jestem przypuścić, że na drodze takiej submisyi powołano do życia obecną redakcyę „Kuryera“. Przepraszam czytelników najmocniej, że raz jeszcze rozprawić się muszę z tym wykrzyknikiem w dziejach dziennikarstwa. Stał się jednak fakt niezwykły. Po krzykliwych szturmach przypuszczanych do redaktorów „Przeglądu“, po kalumniach, najbrutalniejszych napaściach i oszczerstwach wymierzonych przeciw kierownikom pisma naszego, przyszła kolej na abonentów. Bo oto jednem pociągnięciem pióra odsądził organ duchowieństwa wszystkich prenumeratorów naszych od „uczciwości“, — „nieuczciwemi“ nazwał domy wielkopolskie, w których pojawia się „Przegląd Poznański“. Nie pokuszę się o scharakteryzowanie tej chrześciańskiej etyki, — nie pokuszę się o rzucenie w imieniu abonentów naszych takiego słowa napastnikowi, którebym zapożyczyć musiał chyba z zoologii, — ale apeluję do wszystkich ludzi honoru, apeluję do tych dygnitarzy kościelnych, którzy zasiadają w Kuryerowej radzie nadzorczej, i pytam, czy nie ma środka, aby rozpasanej redakcyi założono hamulce, — czy społeczeństwo dłużej cierpieć będzie spokojnie, gdy z tej redaktorskiej ambony padają słowa odsądzające bez zachłyśnięcia od uczciwości setki ludzi, których jedyną winą jest odmienne przekonanie w zakresie polityki lub filozofii. Są osoby, które dla człowieka honoru nie istnieją i od których niczego się nie wymaga. Takiem

jest stanowisko nasze wobec autora skandalicznego artykułu, — ale mamyż uwierzyć, że patroni „Kuryera“ solidaryzują się z taktyką panów redaktorów. Nie! cenimy ich nadto jako ludzi, by myśli podobnej nie wykluczyć z zakresu kombinacyi naszych.

Być może, że przeciwnikom naszym wydawało się korzystnem na progu nowego kwartału i nowej przedpłaty zapoczątkować bojkot ulubiony, ale któż dzisiaj ulęknie się klątwy tych „niepokalanych“, dla których czystem jest to jedynie. co schlebia ich koteryjnym zakusom. Niegdyś te gromy siały lęk w około, ale dziś, gdy maska świętości Kuryerowej nie łudzi nikogo, gdy między „Przeglądem“ a czytelnikami jego snują się nici coraz serdeczniejszej sympatyi, gdy z abonentów naszych wyrastają stalowi szermierze, dziś bojkot staje się dla nas gromką pobudką i żelaznym łańcuchem łączącym ramie do ramienia. To też w przyszłość spoglądamy spokojnie, a lubo słyszymy hasła ostracyzmu, brząkające jakiemś inkwizycyjnem „l o i d e s u s p e c t s“ wstępujemy w nowy kwartał istnienia niezłamani i niezachwiani w programie naszym.

Widzę, że uderzyłem w bardon patetyczności ale w obozie żołnierskim trudno być zawsze na zawołanie miłym c a u s e u r e m. Dziś iskier humoru i fajerwerkowej gawędki wykrzesać nie umiem, — więc przyrzekając na przyszłość poprawę, kończę mój dzisiejszy feljeton nazwiskiem „Ledóchowski“. Coś mi się marzy, że aureola męczeństwa, opromieniająca kapłana patryotę, w przededniu złotego jubileuszu nie nęci nas już i nie porywa jak niegdyś. Pojawiają się wprawdzie gdzieniegdzie energiczne głosy, wzywające społeczeństwo do hołdu i nikt nie ma odwagi zgrzytnąć tam protestem, ale mimo to tak jakoś dziwnie cicho, tak ludzie mówią półgłosem, jakby koścista ręka lojalizmu gardła im zdusiła. Czyżby jubileusz męczennika-patryoty nie mógł się zmieścić w ciasne ramy nowoczesnych haseł i programów? A może ja się mylę?! V e d e r e m o.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Z d a n i a P i o t r a C h m i e l o w s k i e g o o p u b l i c y s t y c e p o z n a ń s k i e j.

Piotr Chmielowski poświęca w trzeciem wydaniu cennego „Zarysu najnowszej literatury polskiej“ (Petersburg 1895 r.) następującą wzmiankę pismu naszemu:

„„P r z e g l ą d P o z n a ń s k i“ zaczął wychodzić od 1 kwietnia r. 1894 pod redakcyą Władysława Rabskiego, autora „Ascety“ i studyum nad Opalińskim. Redagowany jest śmiało w duchu postępowo-demokratycznym. Odznacza się wielkiem ożywieniem“.

O „D z i e n n i k u P o z n a ń s k i m“ tak się wyraża znakomity historyk literatury:

„„Dziennik Poznański“ jedyne czasopismo w Księstwie istniejące bez przerwy od r. 1859, odwracał bądź co bądź umysły od zagadnień naukowej natury, kierując je w stronę polityczną“.

Mówiąc o prądach reakcyjnych, które około r. 1880 nurtować zaczęły społeczeństwo, taką Piotr Chmielowski wypowiada opinię:

„Obrona dążności postępowych nie zmniejszyła się ani osłabła w tym czasie silniejszego nacisku reakcyi. W objawach swoich spokojniejsza, mniej namiętna, tem silniej lubo powolniej oddziaływa na społeczeństwo. Tylko w W. Ks. Poznańskiem, w Prusach Zachodnich oraz na kresach naszej narodowości: na Szląsku pruskim i austryackim, umysły zaprzątnięte silnie kwestyą ochronięcia bytu odrębnego od chcących pochłonąć tę odrębność żywiołów, nie mają czasu i możności wdawania się w spory naukowo-społeczne; we wszystkich innych dzielnicach trwają one bez przerwy“.

W innem zaś miejscu mówi o W. Ks. Poznańskiem:

„Katolicyzm będąc tu w bezpośredniem zetknięciu z protestantyzmem, z konieczności położenia musiał się mieć na baczności i z większą energią występować niż gdzieindziej. Nie należy zapominać, że w Poznańskiem powstało pierwsze pismo z tendencyą ultramontańską, rozpatrujące wszystkie objawy życia społecznego z tego przeważnie punktu widzenia. Naturalną tedy było rzeczą, że dostęp pojęć krytykujących wszelką powagę, a między innemi kościelną, był w Poznańskiem nader utrudnionym, pomimo, że inteligencya miejscowa miała zawsze pretensyę do reprezentowania najświeższego stanu nauki“.

* * *

Wobec skandalicznego procesu klasztoru Aleksyanów w Mariabergu bardzo na czasie jest przekład powieści A m a l i i S k r a m pod tytułem „Profesor Hieronim“.

Autorka ta jest pono największą naturalistką Północy skandynawskiej. Treść przełożonej obecnie na język niemiecki powieści, jest następująca: Eliza Kaut jest malarką, której usilna praca, szukanie prawdy i ideału stargały nerwy doszczętnie. Cierpi na bezsenność, prześladują ją halucynacye. Mąż za zgodą lekarza domowego oddaje ją do zakładu profesora Hieronima. Tu rozpoczynają się dopiero męki duszy kobiecej. Codzienne stosunki z chorymi, ich wrzawa, wrażenie, jakie pozostawiają na niej samobójczynie i umierające, doprowadzają ją do rozpaczy. Przedewszystkiem jednak Hieronim sam ją dręczy. Fizyeznie jest jej wstrętnym. Jego zimna, sucha, wyjałowiona z uczuć natura nie jest w stanie zrozumieć „ciepłego, miękkiego, tęskniącego serca kobiecego“. Spływa tylko na krótką chwilę „w obłoku swego majestatu“ na chorych, a jest bardzo złym jeśli nie napotka u nich uprzejmości, powolności, prawie że skruchy. Posługaczki i dozorczynie mówią jej wciąż, że musi pozyskać sobie względy profesora, a wtedy dobrze jej się dziać będzie. To znaczy, że ona ma oddziaływać na lekarza, nie on na nią. Pociesza się wciąż myślą, że zobaczy męża, usłyszy głos dziecka — profesor jednak zamknął ją szczelnie od świata. Po 25 dniach opuszcza szpital po to atoli, aby zamienić jego rozkosze na inne w innym szpitalu św. Grzegorza. Pisze wtedy list do Hieronima, w którym mu zapowiada, że z chwilą, kiedy zostanie wolną, oskarży go przed światem. Na tem kończy się powieść. Opinia publiczna niemiecka żyła takim aktem przez ubiegłych dni kilkanaście, drżała oburzeniem istotnem, a to nie z powodu opowieści tragicznych, utkanych z przędzy fantastycznej literata, ale z powodu rzeczywistych faktów, odsłoniętych w broszurze p. Mellage i spowodowanym przez nią procesie.

* * *

Dziwne przygody zdarzają się niektórym naszym pismom ilustrowanym. Kupują one sobie dla wygody i taniości pewną ilość starych klisz i obdarzają niemi niewybrednych prenumeratorów, a ponieważ nie zawsze po drugiej stronie kliszy znajduje się odpowiedni napis, a kliszy szkoda, przeto podpisuje się pod nią, co na myśl przyjdzie i — bądź kontent prenumeratorze, że masz stary obrazek pod nowym tytułem. W ten sposób widzieliśmy niedawno katedrę florencką z podpisem katedra medyolańska, a w pewnej broszurze śp. arcybiskup Feliński został cudownie zamieniony na arcybiskupa Fijałkowskiego. Figlarze są ci wydawcy.

Oto znów świeżo w jednem z mniejszych pism ilustrowanych spotkaliśmy rysunek Jankowskiego z podpisem „Na letniem mieszkaniu“. Rysunek przedstawiał przystojnego chłopaka, trzymającego za rękę mniej przystojną dziewczynę. Nic w tym rysunku nie mówiło o żadnem „letniem mieszkaniu“, nawet na umieszczonym obok stole nie było ani rzodkiewki, ani nic, coby lato przypominało. Ale na talerzu leżały... opłatki. I owa mniej przystojna dziewczyna w drugiej wolnej ręce również trzymała opłatek, a stół był przygotowany do wieczerzy wigilijnej. I ktoby powiedział, proszę państwa, że na letniem mieszkaniu ludzie łamią się opłatkiem i spożywają wieczerzę wigilijną? Inne widać zwyczaje są na wsi, a inne w mieście.

To mało, ale rysunek ten natchnął jakiegoś poetę, który dorobił do niego wiersz nie tyle ładny, ile nie mający nic wspólnego z treścią ryciny.

* * *

C h y b a n i e T a r n o w s k i! Ktoś kupił sobie Szkice i rozprawy Macaulaya w tłomaczeniu Stanisława Tarnowskiego (Kraków, 1893) i znalazł w przekładzie następujące kwiatki stylu i gramatyki:

„W morderstwach r o z k o s z o w a ł jak w Bacchanaliach.“

„Barrère zupełnie jak Chloe b y ł niewierny i b y ł dla każdego, ale b y ł znowu jak Chloe s t a ł y, j a k d ł u g o p o s i a d a n y.“

„A sam rzeczywisty sprawca w zupełnem bezpieczeństwie u ż y w a ł z r o z k o s z ą n a s t r a c h u i udręczeniu Robespierre'a.“

„Nie wiem doprawdy, czy udało się kiedy ludzkiej istocie natłoczyć tyle złego w p r z e s t r z e ń t r z y s t u s z e ś ć d z i e s i ą t (?) p i ę c i u d n i.“

I tak dalej.

Ów ktoś, przytoczywszy długą litanią podobnych dziwolągów, kładzie nad nimi w „Kuryerze warszawskim“ tytuł: „Chyba nie Tarnowski...“

A to właśnie Tarnowski!

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** W sejmie włoskim przyszło do skandalicznej bójki między stronnictwem ministeryalnem a posłami lewicy. Kilku deputowanych wyprowadzono rannych ze sali. — Królowa angielska udzieliła gabinetowi Rosebery'ego żądanej dymisyi i poruczyła Salisbury'emu utworzenie nowego ministerstwa. Wydział prowincyonalny nadreński postanowił wziąć zakład Aleksyanów Mariaberg w dzierżawę i zamienić na prowincyonalny zakład leczniczy. — Rektor uniwersytetu wrocławskiego pozwolił w porozumieniu z senatem na przypuszczenie kobiet do studyów uniwersyteckich w charakterze hospitantek. — Okazuje się, że świeżo otwarty kanał cesarza Wilhelma nie wystarcza, mimo swej głębokości, dla wielkich okrętów. Postanowiono koryto pogłębić.

* **Teatr i muzyka**. Artystka teatru poznańskiego, p. Helena Zimajer, zaangażowana chwilowo do łódzkiego teatru, zjednała sobie gorące uznanie tamtejszej krytyki i publiczności. — Stanisław hr. Rzewuski, autor dramatyczny, przebywający stale w Paryżu, wykończył nowy dramat p. t. „La Legende du Masque“, który wystawić zamierza w paryskim teatrze Porte Saint-Martin. Ostatni utwór francuski tegoż pisarza „Tyberyusz na Capri“ cieszył się w zeszłym roku w stolicy francuskiej wielkiem powodzeniem. — Warszawski teatrzyk Bellevue nabył nową sztukę K. Zalewskiego p. t. „Cyganerya“. Jest to podobno przeróbka z Murgera (?). — Aleksander Dumas po długoletniem wahaniu się oddał swą sztukę „Route de Thèbes“ do wystawienia w Komedyi francuskiej. — Warszawski „Teatr letni“ wystawi niebawem sztukę Richepina p. t. „Lep“ (La glue). W utworze tym wystąpi gościnnie p. Gabryela Zapolska. — Sembrich-Kochańska udała się na występy do Londynu. — Helenę Modrzejewską przyjmuje entuzyastycznie publiczność lwowska. Teatr nieomal zawsze jest wykupiony.

Zmarli:

* **Zofia Łasińska**, autorka tomiku nowel p. t. „Komary“, i kilku powiastek w języku niemieckim — zm. w Poznaniu 17 czerwca.

* **Ryszard Genée**, kompozytor i librecista operetkowy — zm. w Wiedniu 10 b. m.

* **Arystydes Venreuil**, znakomity chirurg francuski — zm. 13 b. m. w Paryżu.

BIBLIOGRAFIA.

Sewer. Na szerokim świecie. Powieść. Kraków, 1895.

Gabryela Zapolska. Janka. Powieść. Warszawa, 1895. Tom I i II.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. K. Nadesłanego dramoletu zamieścić nie możemy dla braku warunków literackich.

Ahasver. „Fata Morgana“ nie nadaje się do druku. Wiele tam sztucznej afektacyi ale mało poezyi. Może w dziedzinie powieściowej będzie pan szczęśliwszym.

Abonentowi. Za nadesłany wycinek dziękujemy. „Kuryer“ jak zwykle mija się z prawdą, bo ustęp wiadomego artykułu jest cytatem z książki Haushofera, podanym przez nas bez żadnych komentarzy. Twierdzenie zatem, że „uwagi cytujące zgadzają się z cytowanym“ jest pospolitym fałszem. Ale niech to pana nie dziwi. U tych ludzi ciasnota pojęć i brak humanitarnego na świat poglądu walczy zawsze o lepsze z kłamstwem.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.